

Kludia Drózdź, *Kazimierz Odnowiciel. Polska w okresie upadku i odbudowy*, Wydawnictwo Templum, Wodzisław Śląski 2009, ss. 164

Kolejnym opracowaniem, poświęconym w ostatnich latach władcy z dynastii Piastów, jest monografia podejmująca próbę przedstawienia życia i działalności Kazimierza Odnowiciela. Praca ma przejrzystą konstrukcję. Składa się z czterech rozdziałów. Pierwszy przedstawia Polskę w czasach dzieciństwa Kazimierza: w schyłkowym okresie rządów Bolesława Chrobrego i w okresie panowania Mieszka II, choć znajdujemy tam odwołania do czasów Mieszka I. W rozdziale drugim zaprezentowano wydarzenia związane z kryzysem lat trzydziestych XI w. Rozdział trzeci poświęcony został procesowi zjednoczenia kraju. W rozdziale czwartym Autorka prezentuje etapy odbudowy kraju. K. Drózdź zwraca uwagę także na organizację państwa Bolesława Chrobrego. Akcentuje integracyjną rolę wojen w tym okresie, zwłaszcza dla relacji wojów z księciem. Autorka wprawdzie sygnalizuje genezę kryzysu w czasach Bolesława Chrobrego, jednak brakuje szerszych rozważań dotyczących jego ewentualnych symptomów.

K. Drózdź nie wspomniała, że data urodzenia księcia Kazimierza (25 VII 1016) jest pierwszą podaną datą dzienną w rocznikach polskich. Jej zdaniem prawdopodobnie Kazimierz wraz z rodzicami przebywał w Krakowie. Autorka demontuje stwierdzenia o oddaniu Kazimierza do klasztoru jako mnicha. Według K. Drózdź przebywał on w klasztorze, bo tylko tam mógł uzyskać wykształcenie godne następcy tronu. Rzeczywiście sąd Autorki wydaje się być bardzo prawdopodobny, ponieważ zmiana sposobu kształcenia władcy następuje dopiero na przełomie XI/XII w., kiedy kładzie się większy nacisk na kształcenie rycerskie. W Europie Środkowej i Wschodniej w XI w. model kształcenia synów królewskich i książęcych uwzględniał znajomość pisma, a także zagadnień religijnych. „Uczeni” władcy tego okresu to królowie węgierscy: Stefan Święty, Koloman I, książę czeski Waclaw I, z władców ruskich – Włodzimierz Wielki, Jarosław Mądry, Włodzimierz Monomach, w Polsce Mieszko II i jego córka Gertruda¹. Zatem na tym tle kształcenie Kazimierza nie wydaje się wyjątkowe, zaś pobyt w klasztorze mógł rzeczywiście stanowić etap w nauce. Według Autorki przypuszczalnie był to klasztor w Krakowie, czego

¹ J. Dowiat, *Kształcenie umysłowe synów książęcych i możnowładczych w Polsce i niektórych krajach sąsiednich w X-XII w.*, [w:] *Polska w świecie. Szkice z dziejów kultury polskiej*, red. J. Dowiat i in., Warszawa 1972, s. 80-86.

nie można wykluczyć, choć argument, że oddanie do klasztoru za granicą odbiłoby się większym echem, jest mało przekonujący, jeśli zachowały się tylko szczątkowe źródła.

K. Dróżdź dużo uwagi poświęca rozważeniu społecznych przyczyn załamania się monarchii. Bolesław Chrobry rządził absolutnie, sprzyjały mu czas wojny i możliwość skierowania energii możnych na zdobywanie oraz więź emocjonalną z drużyną. Członkowie drużyny chcieli jednak zwiększenia swojego znaczenia ekonomicznego i ograniczenia obowiązków względem władcy. Autorka podkreśla rolę religii – mimo oporów z jej wprowadzeniem – jako czynnika spajającego i wzmacniającego, wieńczącego politykę integracji. K. Dróżdź zauważa, że zarówno drużyna, jak i chłopci stali się zagrożeniem dla monarchii, i wymienia wprowadzane powinności, prace fortyfikacyjne, daniny, które przyczyniały się do rosnącego niezadowolenia. Możni zatem wypróbowali na Mieszku nową formę nacisku na władcę. Jak zauważa K. Dróżdź, Kazimierz w momencie objęcia władzy miał utrudnioną sytuację, bo autorytet władcy po wydarzeniach w czasach rządów jego ojca był podłamany, zaś możnowładcy liczyli, że pokierują młodym księciem. Zdaniem Autorki sukcesy Mieszka II na początku panowania sugerują, że władca dałby sobie radę z najeźdźcami – Konradem II i księciem ruskim Jarosławem, gdyby nie wystąpili przeciwko niemu bracia Bezprym i Otton, współdziałający z cesarzem i księciem ruskim. Zauważa również, że nie da się rozstrzygnąć, kto wywiózł insygnia (Rycheza czy Bezprym), jednak jej zdaniem Rycheza, żona Mieszka II, nie współdziałała z Bezprymem. Po śmierci Bezpryma cesarz podzielił kraj na trzy części. W opinii K. Dróżdź Mieszkowi II przypadła Małopolska i Mazowsze, Otton otrzymał Śląsk, a Thiedryk, stryjeczny brat Mieszka, Wielkopolskę.

Jak pisze Autorka, Kazimierz z matką po jej rozwodzie z Mieszkiem (właściwie po unieważnieniu małżeństwa – jeśli do niego doszło) i opuszczeniu Polski w 1031 r. znalazł się na terenie Niemiec. Jednak rządy w Polsce przejął zaraz po śmierci ojca.

Autorka stara się obalić hipotezę o istnieniu Bolesława Zapomnianego, dowodząc pomyłki kronikarza wielkopolskiego, który z postaci Bezpryma stworzył Bolesława Zapomnianego. Nie zgadza się również z twierdzeniem o bezkrólewiu w Polsce. Stara się pogodzić informacje źródeł odnośnie do wyjazdu Rychezy w 1031 r. (akt fundacyjny klasztoru w Brauweiler) oraz przekaz Galla Anonima, że po śmierci Mieszka pozostał w kraju syn i jego matka. Propozycja K. Dróżdź jest możliwa do przyjęcia, ale jako tylko jeden z wariantów przebiegu wydarzeń. Autorka dochodzi do wniosku, że skoro Anonim tzw. Gall pisze, że Rycheza została z Kazimierzem, choć miał on około 18 lat, zapewne musiała po śmierci Mieszka wrócić, żeby pomóc synowi. Jednak jej zbyt duży wpływ na księcia i szukanie poparcia u cesarza doprowadziło do wygnania Rychezy przez otoczenie Kazimierza.

Trzeba się zgodzić z Autorką, że możnowładztwo, popierając Ottona i Bezpryma, liczyło na osłabienie władzy centralnej. Bezprym jednak prawdopodobnie rozprawił się krwawo z współpracownikami Mieszka oraz duchowieństwem, gdyż dążył do rządów silnej ręki wzorem Bolesława Chrobrego, i dlatego został zabity.

W opinii K. Dróżdź Kazimierz w chwili wybuchu niezadowolenia możnych w 1036 r. nie opuścił od razu kraju, ale udał się do Krakowa. Autorka rozpatruje

przekaz Anonima tzw. Gala o buncie ludowym z perspektywy niespokojnych wystąpień w Polsce z przełomu XI/XII w., czyli okresu, w którym pisał on swoją kronikę. Uważa, że tylko Anonim i *Powieść lat minionych* wspominają o buncie z lat 1037-1038, który uznaje za powstanie społeczno-religijne. Natomiast przekaz rocznika niemieckiego, i może krakowskiego, dotyczący upadku chrześcijaństwa, Autorka odnosi do lat 1031-1032, czasu „srogich rządów” Bezpryma.

Jak słusznie K. Dróżdź zauważa, jedyny wymieniony z imienia w źródłach spośród ówczesnych możnych – Mieclaw, nie musiał brać udziału w samym buncie ani być jego przywódcą. Autorka zastanawia się, dlaczego Mieclaw nie przejął władzy w całej Polsce i zadowolili się peryferyjnym Mazowszem. Jak pisze, przypuszczalnie możni go nie popierali, obawiając się powtórki sytuacji z Bezprymem. Mieclaw nie był zwolennikiem Kazimierza, bo do niego uciekali opozycjoniści, ale zapewne nie stanowił powodu ucieczki młodego księcia. K. Dróżdź uznaje za prawdopodobny sojusz Mieclawa z Pomorzanami i Prusami. Opowiada się za rokiem 1038 jako datą wyprawy Brzetysława na Polską trasą: Kraków–Giech–Sandomierz–Opatów–Sieradz–Kalisz.

Kazimierz po opuszczeniu kraju dostał się na Węgry, gdzie był więziony przez Stefana Węgierskiego. Autorka dochodzi do wniosku, że zatrzymanie Kazimierza na Węgrzech mogło być zbiegiem okoliczności. Zauważa sprzeczności w relacjach Anonima dotyczące np. postawy następcy Stefana, Piotra Wenecjanina, który, mimo że współpracował z Brzetysławem czeskim przeciw Cesarzowi, wypuścił Kazimierza przetrzymywanego przez poprzednika. Autorka zna prace T. Jasińskiego dotyczące pochodzenia Anonima, zwanego Gallem, z Wenecji, dziwi więc to, że nie sygnalizuje (nawet jeśli z tym się nie zgadza) przynajmniej kwestii wpływu ewentualnego pochodzenia kronikarza na przedstawienie przez niego przebiegu wydarzeń na Węgrzech w 1038 r. Jak pisze Jasiński, obraz Piotra Wenecjanina, stworzony przez Anonima, wyróżnia się na tle ówczesnego piśmiennictwa środkowoeuropejskiego, a zwłaszcza węgierskiego. Jego zdaniem Anonim przyniósł sympatię dla Piotra Wenecjanina z Wenecji bądź z ziem rządzonych przez ród Orseolo, z którego Piotr pochodził².

W trzecim rozdziale dowiadujemy się o okolicznościach powrotu Kazimierza z ziem Cesarstwa (do których przybył z Węgier) do Polski. Jak sugeruje Anonim tzw. Gall, Cesarz proponował Kazimierzowi księstwo na terenie państwa niemieckiego (może po bezdzietnym Ottonie, krewnym matki), jednak książę zdecydował się wrócić do kraju wraz z oddziałem złożonym ze stu rycerzy, który otrzymał od Piotra Wenecjanina, oraz rycerzami darowanymi mu zapewne przez braci Ryczezy. W jego oddziale była wprawdzie grupa wojów cesarskich, ale nie jest to – jak podkreśla K. Dróżdź – dowód zależności od cesarza. Nie mógł też Kazimierz być w latach czterdziestych lennikiem ze Śląska, bo ten znajdował się w rękach Brzetysława.

Zdaniem K. Dróżdź Kazimierz spędził w Niemczech od trzech do sześciu miesięcy i wrócił do kraju najpóźniej wiosną lub jesienią 1039 r. Pierwszym polskim

² T. Jasiński, *O pochodzeniu Galla Anonima*, Kraków 2008, s. 21.

miastem opanowanym przez Kazimierza byłby Lubusz nad Odrą. Książę nie wdał się w walki, tylko zajmował tereny „niczyje” – Wielkopolskę i Małopolskę. Wkrótce ożenił się z Dobroniegą Marią. Autorka opowiada się za hipotezą, że Dobroniega mogła być siostrą Jarosława, córką ostatniej nieznannej z imienia żony Włodzimierza. Kierując się znaną datą urodzin syna Kazimierza – Mieszka, ślub Kazimierza ustala najpóźniej na VI 1042 r., a narodziny Bolesława Szczodrego najpóźniej na IV 1043 r. Jak przekonywująco argumentuje, Kazimierz potrzebował sojusznika od razu, więc raczej nie zwlekał z małżeństwem, możliwe zatem, że do jego zawarcia doszło już w drugiej połowie 1039 r.

Według *Powieści minionych lat* w 1041 r. odbyła się wyprawa księcia ruskiego na Mazowszan „w łodziach”, jednak nie zakończyła się ona zwycięstwem. Od tego momentu Miecław był przygotowany na próbę pozbawienia go władzy. Trzeba się zgodzić z K. Dróżdź, że Anonim tzw. Gall przesadził, kiedy podkreślał dysproporcję między siłami Miecława i Kazimierza, chcąc gloryfikować Kazimierza. *Powieść lat minionych* podaje, że w 1047 r. „Jarosław poszedł na Mazowszany i zwyciężył ich i zabił ich księcia Mojsława i poddał ich Kazimierzowi”. Zdaniem Autorki Kazimierz brał udział w tych walkach, jednak w towarzystwie licznych posiłków ruskich.

K. Dróżdź rozpatruje stosunek Pomorza do Polski w omawianym okresie. Analizuje przekaz kroniki budzińskiej z XIV w., która opisuje walki Kazimierza z Pomorzanami, rozstrzygnięte przez pojedynek stoczony przez Belę (szwagra Kazimierza). Ostatecznie jednak – jak pisze Autorka – Kazimierz pokonał Pomorzan w 1047 r. po zwycięstwie nad Miecławem.

Jak dowodzi K. Dróżdź, jednoczenie ziem polskich przez Kazimierza następuje nie tylko w wyniku walk, ale też dzięki rozmowom w czasie zjazdów organizowanych przez cesarza. W 1041 r. na zjeździe w Ratyzbonie Brzetysław zrzekł się ziem polskich, zatrzymując jednak część Śląska. Jak podają roczniki altajskie, do spotkania Brzetysława, Zemuzila (Siemomysła), przypuszczalnie księcia zachodniopomorskiego i Kazimierza Odnowiciela doszło na zjeździe w Merseburgu w 1046 r. Kazimierz, chcąc zapewnić sobie spokój w czasie odbudowy państwa, zaakceptował stratę Śląska, być może uzyskał – według Autorki – zapewnienie neutralności ze strony Zemuzila. Ale już na mocy zjazdu w Kwedlinburgu w 1054 r., gdzie przybyli Brzetysław i Kazimierz, Śląsk wrócił do Polski pod warunkiem płacenia przez Kazimierza trybutu.

Autorka pisze, że zniszczenia oraz zmęczenie ludzi walkami przyczyniły się do tego, że Kazimierz dość łatwo opanował kraj. Przyjmuje, że obrał on Kraków za swoją siedzibę nie tylko z powodu zniszczeń Gniezna, ale także swoich związków z tym grodem od dzieciństwa. Poza tym nastąpiła korzystna dla Krakowa zmiana szlaków w Europie. Łatwiej było też odzyskiwać Śląsk, wyruszając z tego miejsca niż z Gniezna.

K. Dróżdź dochodzi do wniosku, że w czasie kryzysu i zaraz po jego zakończeniu polskie instytucje kościelne funkcjonowały, ma jednak wątpliwości dotyczące arcybiskupstwa gnieźnieńskiego i biskupstwa poznańskiego. Podkreśla, że w czasie lat niepokoju zginęło wielu księży, książę sprowadził więc nowych duszpasterzy, np. z Niemiec. Autorka próbuje udowodnić, że Aron opat tyniecki i biskup krakowski to

jedna osoba, ponadto dowodzi, że klasztor w Tyńcu ufundował Kazimierz, bowiem dysponował odpowiednim zapleczem (kontakty w Niemczech – wuj Herman, arcybiskup koloński).

Wprowadzenie prawa rycerskiego przez Kazimierza Odnowiciela Autorka określa jako zapoczątkowanie systemu, który przekształcił się później w „typowy system lenny”. Takie sformułowanie budzi jednak wątpliwości, bowiem w Polsce nie było typowego systemu lennego, jaki obserwujemy w Europie Zachodniej.

K. Dróżdź podkreśla dużą rolę, jaką w procesie jednoczenia odegrało wsparcie rodziny ze strony matki dla całej działalności Kazimierza. Dużą pomoc uzyskał też ze strony rodziny żony (od Jarosława Mądrego). Swą siostrę Gertrudę Kazimierz wydał za Izasława, syna Jarosława. Autorka pokazuje, że 24-letnie panowanie Kazimierza obejmowało burzliwe wydarzenia: bunt, najazd Czechów, oderwanie ziem, powrót księcia, odbudowę kraju. Poza państwem zjednoczonym przez Kazimierza pozostały jednak Grody Czerwieńskie, Miłsko, Łużyce, Morawy i Pomorze Zachodnie. Autorka akcentuje dwutorowe działanie księcia: odzyskiwał i odbudowywał.

K. Dróżdź krytycznie podchodzi do prezentowanych hipotez, szczegółowo analizuje źródła i stawia własne hipotezy. Jej praca wyczerpująco przedstawia i podsumowuje wyniki dotychczasowych badań dotyczących burzliwych wydarzeń w I połowie XI w.

AGNIESZKA TETERYCZ-PUZIO
AP SŁUPSK

* * *

ks. Henryk Romanik, O Żydach w Koszalinie. Szkice do portretu zbiorowego, Per Media SA, Koszalin 2006, ss. 214. Część druga*

W tej części recenzji zostaną przeanalizowane i ocenione teksty wchodzące – po pierwsze – w skład segmentu (3.), zatytułowanego *Szkice do portretu Żydów koszalińskich*, a konkretnie wydzielone zapisy: 3.1. *Zarys dziejów gminy synagogałnej* (s. 31-44); 3.2. *Borchardtowie – dynastia przedsiębiorców koszalińskich* (s. 45-51); 3.3. *Żydowscy znajomi pewnej koszalinianki* (s. 52-55) oraz 3.4. *Lothar Baruch i jego rodzina przed Zagładą* (s. 56-69); po drugie – cały *Aneks I. Archiwalia dotyczące Żydów w Koszalinie* (s. 95-134).

* Część pierwsza recenzji w „Słupskich Studiach Historycznych” nr 14, Słupsk 2008, s. 190-217.

Błędy interpretacyjne i rzeczowe, nieczytelna fabuła wyjaśnień i wniosków, niedomówienia faktograficzne (itd.).

Nie wiadomo (s. 31-32), jakiej to historii „trwającej do 1942 roku” Żydzi dali początek (?): historii Koszalina w ogólności – to oczywiście nonsens; może historii gospodarczej albo przemian i zróżnicowań kulturowych, lub też zmian społecznych w tym mieście (itd.)? Jacyś ‘anonimowi’ „władcy” wykazywali „niejednoznaczna postawę [...] wobec Żydów” (s. 31), a wystarczyło dopisać, że to kolejni panujący (od połowy XVII w.) w Brandenburgii-Prusach, w Królestwie Pruskim. Dla kogo to może być zrozumiałe (?): „Ze względu na obowiązujący numerus clausus liczba potrzebna dla usamodzielnienia [sic!] w dziedzinie kultu (minjan) wzrastała powoli” (s. 32). Należało wyjaśnić pojęcie „minjan”, choćby w przypisie, tekstem w rodzaju: *minjan* (hebr. *liczba*) – quorum co najmniej dziesięciu Żydów płci męskiej powyżej 13. roku życia, nieodzowne do odprawienia wszelkich nabożeństw publicznych i do czytania zwoju Tory, tj. z hebrajskim tekstem Pięcioksięgu.

To bez konkretności (s. 32): „spory o obowiązki cywilne” (?). Recenzent domyśla się tego, co autor nadzwyczaj enigmatycznie zasygnalizował, lecz skrętnie ukrył uściślenie. Innego rodzaju niewłaściwie podana informacja (s. 33). „W 1823 r. zarządzono obowiązek szkolny dla dzieci w wieku 6-14 lat, które dotąd ograniczały się do nauki hebrajskiego i religii mojżeszowej”. Pomijając niezbyt poprawną konstrukcję części zdania, nasuwają się pytania, wynikające z braku precyzji rzeczowej – kto „zarządził obowiązek szkolny” w 1823 r., gdzie i dla kogo oraz o jakie szkoły chodziło? Z kontekstu wywodu wynika, że dla dzieci żydowskich, ale to należało zaznaczyć. Otóż, w Prusach od 1823 r. obowiązywało prawo umożliwiająca zakładanie szkół wyznaniowych wyłącznie dla dzieci żydowskich. W roku następnym zapowiedziano wprowadzenie dla nich powszechnego obowiązku szkolnego, który w Prusach od 1825 r. obejmował wszystkie dzieci od ukończenia 5. do 14. roku życia. Z tego co dalej czytamy, należy wywnioskować (bo tekst jest nad wyraz skomplikowany), że: do 1823-1824 r. dzieci z żydowskiej gminy w Koszalinie, i to z zamożniejszych rodzin, pobierały naukę u prywatnych nauczycieli. Jeżeli tak, to nasuwa się pytanie – czy byli to nauczyciele tylko języka hebrajskiego i religii mojżeszowej, czy raczej uczący też języka niemieckiego (a więc i alfabetu łacińskiego), podstaw liczenia (rachunków), może elementów geografii? Nie ma potwierdzenia, że w Koszalinie powstała żydowska szkoła wyznaniowa (jak np. w Bytowie w 1824 r.), dlatego – wniosując na podstawie takiego założenia – „większość dzieci [...] trafiała do szkół chrześcijańskich”, gdzie (siłą rzeczy) uczyła się jak pozostałe tzw. przedmiotów świeckich. Przy okazji pojawia się pytanie – co to za „szkoły chrześcijańskie” i ile ich było w Koszalinie np. w pierwszej połowie XIX w.? Istniała w początkach tamtego stulecia tylko jedna powszechna miejska szkoła elementarna 2-stopniowa, bo z odrębną klasą bezpłatnego nauczania dla dzieci z najbiedniejszych rodzin. Kolejny nasuwający się wątek problemowy – co z nauką hebrajskiego i religii mojżeszowej od 1824 r.? Była dostępna w trybie prywatnym, a może prowadzona systemem rabinackim (nauczycielem był rabin,

ewentualnie kantor)? Autor zaznaczył (s. 33), że „wychowania żydowskiego dopełniał nauczyciel i kantor synagogałny. Chodzi tylko o „wychowanie” – zapewne głównie w zakresie obyczajowości judaistycznej – czy także o naukę hebrajskiego i religii? Zachodzi potrzeba dalszego dociekania, czy – być może – żydowska szkoła w Koszalinie powstała w latach nieco późniejszych. Pewną przesłankę ku temu stanowi fakt (s. 33), że w 1848 r. już 40 dzieci z żydowskiej gminy uczęszczało obowiązkowo do szkoły powszechnej (chrześcijańskiej). Gmina żydowska w Koszalinie nie była wówczas „zbyt mała” – na tle porównawczym – „by założyć własną szkołę” (s. 33). W Bytowie według stanu z 1826 r. do własnej szkoły wyznaniowej chodziło 32 dzieci żydowskich. Czyżby gmina koszalińska była w połowie XIX w. wciąż za biedna, aby utrzymać szkołę, względnie nie dostrzegano potrzeby jej zakładania, oddając działalność edukacyjną w zakresie wyznaniowym aktualnym zwierzchnikom i opiekunom sali modlitewnej, z czasem (po 1861 r.) synagogi? W tekście autorskim znajduje się zaledwie 8 wierszy, a ile wymuszają one i rodzą u czytającego własnych komentarzy, potrzeb wyjaśniających, prostych znaków zapytania. Czego więc uczy ten fragment (nie jedyny zresztą w książce)? W sensie przekazu na pewno nie konkretnej a zrozumiałej wiedzy, opartej na prawidłowo interpretowanych faktach, wydarzeniach, datach.

Jeżeli w połowie XIX w. „zatrudniony” został „własny rabin” (s. 33) – to zapewne nauczał hebrajskiego i religii mojżeszowej, przynajmniej w czasie swojej koszalińskiej posługi w latach 1846-1860. To był – zdaniem autora – pierwszy i jedyny rabin w Koszalinie, zaś po nim (?) „różne funkcje religijne łączyli urzędnicy synagogałni” (s. 33). Co to za jedni? Chodzi chyba o członków kilkuosobowego zarządu gminy (Vorstand), wybieranego przez ogół uprawnionych, zgodnie z regułami zapisanymi w edykcie królewskim z 1847 r., a doprecyzowanymi w statucie gminy z 1856 r.

Autor zauważa (s. 33), że „skąpe [sa] informacje o życiu i strukturze gminy”. Pytamy – o jaką strukturę chodzi? To pojęcie należało ukonkretnić, bowiem może być struktura wieku, płci, zawodowa, majątkowa, wykształcenia, organizacyjna (gminy). Co to: „Przewodnictwo gminy” (s. 34)? To zarząd gminy – jak (chyba) w dwóch innych miejscach (też s. 34).

Tekst na s. 34 skonstruowany jest w zupełnym rozgardiaszu rzeczowo-problematycznym. Na przykład w czterech oderwanych miejscach jest o liczbie dzieci uczęszczających „na zajęcia szkolne przy synagodze”, „do szkoły religijnej” i „do szkoły żydowskiej”, lub trzykrotnie o tym samym (ale odmiennie): „stowarzyszenie kobiet”, „towarzystwo pań”, „Żydowski Związek Kobiet”. Z podobną częstotliwością – na oznaczenie tej samej organizacji – pojawia się: „bractwo dobroczynno-pogrzebowe”, „Bractwo Chewra Kadiszah” (dwa razy), „Bractwo Pogrzebowe”.

Dowolność w enigmatyczności wywodu wywołuje potrzebę pytania i odpowiedzi: co to oznaczało w praktyce, że według ustawy z 1847 r. nastąpiło „zrównanie Żydów z innymi obywatelami w prowincjach państwa” (s. 35); pod jakim względem zrównanie, dlaczego w prowincjach (zresztą jakich?), przecież odnosiło się to do terytorium całego państwa pruskiego. Wprost i należyście zrozumiałe należało napisać, kiedy „powstało niemieckie państwo narodowe” (s. 35). To stwierdzenie

nie jest ponadto nieprecyzyjne. Proklamowana 18 stycznia 1871 r. II Rzesza Niemiecka istniała jako federacja 25 państw niemieckich (protestanckich, katolickich), zdominowanych – politycznie, demograficznie, gospodarczo i wojskowo – przez największe z nich Królestwo Pruskie. Taki twór federalny był państwem narodowym – raczej z założenia jego twórców, bo nie powstało ono z woli narodu, lecz na mocy decyzji panujących, którzy poddali się pruskiej przewadze. Nowy suweren, Rzesza, na czele z królem Prus, noszącym tytuł cesarza niemieckiego, wymagał lojalności i niemieckiego poczucia narodowego. Ale do końca istnienia II Rzeszy w 1918 r. ten obowiązek i wymóg nie wytworzył w rzeczywistości „patosu właściwego państwom narodowym” (J. Krasuski).

Mamy wyraźny brak zwartości rzeczowej i niepotrzebnie skomplikowane powoływanie się przez autora na trudności warsztatowe. Dotyczy to (s. 37-38) charakterystyki imiennej listy pochowanych Żydów na obu koszalińskich cmentarzach i pewien rodzaj przypadkowej analizy tego źródła pod kątem nazwisk, które „brzmia słowiańsko”. Dopiero po fragmencie dotyczącym tego specyficznego rozbioru zagadnienia (14 wierszy) autor odsyła szukającego konkretów w odległe miejsce swojej pracy – do Aneksu 1 (p. 3: *Lista cmentarna...*, na s. 130-134). Nasuwa się także pytanie, w jakim sensie „dokonano próby odczytania spisu” (s. 38)? To była tylko „próba” – w efekcie nieudana? Dlaczego? Nie wiemy. Może *Lista...* została sporządzona pismem odręcznym, gotykiem niemieckim. Nie, autor miał do dyspozycji „kopię maszynopisu” (s. 38). Więc na czym polegała trudność? Można było od razu to wytłumaczyć (ewentualnie w przypisie), a dowiadujemy się o tym we wstępie poprzedzającym *Listę...*, czyli dopiero na s. 130, że „stan kopii listy” jest zły, „nie pozwala niestety na odczytanie [imion, nazwisk – J.L.]”: raz – 26 osób i „wiele innych danych” (s. 38), drugi raz – 14 osób „i wielu innych danych” (s. 130). Uwagi na temat przytoczonej *Listy...* przedstawiono w dalszej części recenzji.

Należy zapytać, co to za „epoka po wojnie francusko-pruskiej” (s. 38). Brakuje datacji tego konfliktu i osadzenia w określonych bądź przybliżonych ramach chronologicznych anonimowej „epoki”. Skoro – jak należy się domyślać – są to lata po 1871 r. (do przełomu XIX-XX w.), to żadną miarą nie należało podawać faktów z początków lat pięćdziesiątych XIX stulecia.

Co to faktycznie oznaczało (s. 38): „przewodził słupskiej izbie handlowej”; jaka była oficjalna nazwa tej instytucji i kiedy powstała? W 1900 r. rozpoczęła działalność izba handlowa na obszar rejencji koszalińskiej z siedzibą w Słupsku (Handelskammer für den Regierungsbezirk Köslin zu Stolp i.Pom.). Autorowi brakuje ukonkretnionej wiedzy z zakresu życia politycznego w Rzeszy na przełomie lat siedemdziesiątych-osiemdziesiątych XIX w. Na przykład na s. 39 pojawia się zdanie: „pewien dr Ernst Henrici, nauczyciel gimnazjalny z Berlina [...]”, szerzący na terenie Pomorza „rasistowski nacjonalizm z mocną domieszką ideologii antyżydowskiej”. Nie „pewien” doktor, ale przede wszystkim czołowy przedstawiciel rodzącego się w Niemczech tzw. politycznego antysemityzmu, który w lutym 1881 r. dotarł z agitacją m.in. do Szczecinka. Partia antysemita wprowadziła do Reichstagu swojego pierwszego posła w 1887 r., a po kolejnych wyborach w 1890 r. – 16 (w końcu XIX w. nastąpił regres znaczenia tej formacji). Tym „pewnym Henricim” autor zajął

się ponownie (s. 40), wspominając – a nie tworząc z poprzednim (adekwatnym) zapisem zwartego tematycznie fragmentu – o jego pobycie w Koszalinie w tym samym okresie i obarczając odpowiedzialnością za „próbę sprowokowania rodzaju »wojny domowej«”. To nie była „próba”, gdyż prowokacyjne wiece antyżydowskie z jego udziałem okazały się skuteczne, bowiem zaowocowały antyżydowskimi tumultami i przejawami wandalizmu w kilkunastu miastach, głównie na terenie rejencji koszalińskiej (np. w Świdwinie doszło do poważnych zniszczeń żydowskiej własności).

Kto się domyśli, bo autor to przemilczał, że „Norddeutsche Presse” (s. 39) jest tytułem gazety konserwatywnej, wychodzącej w Szczecinku. Nie „naczelnym radcą rządowy z Koszalina”, ale prezydent rejencji koszalińskiej. Cały tekst na stronie 40, poświęcony ekscesom antyżydowskim, jest kwintesencją niewiedzy, popartej niebywale ułomną polszczyzną. Jak to możliwe (s. 40), że „szczecinecki przypadek” (pożar synagogi 18 II 1881 r.) mógł być „tylko smutną zapowiedzią pogromu, który po sześćdziesięciu prawie latach miał zniszczyć wszystkie synagogi w III Rzeszy”?

Jak odczytać, z czym lub z kim powiązać zapis na s. 40: „wyruszył w podobną podróż na Pomorzu” (dosłownie). Domyślamy się, że to odniesienie do rajdu polityczno-propagandowego dr. Henrici, ‘porzuconego’ przez autora kilkanaście wierszy wcześniej. Nie każdy skojarzy, że „wielka wojna” (s. 40) to I wojna światowa z lat 1914-1918. Zabrakło skróconego, ale zrozumiałego rozwinięcia genezy i przebiegu „kryształowej nocy” (s. 42). Formuła zaproponowana w książce jest nie do przyjęcia, bowiem wywód jest niezrozumiały, pogmatwany rzeczowo, zabrakło nawet daty owej „nocy” (z 9 na 10 XI 1938 r.). Nieco dalej (s. 43) natrafiamy na swoiste dopowiedzenie w rodzaju: „Po pogromach z listopada 1938 r.”. Ile ich było, jak długo trwały? Pytania zasadne, bowiem stykamy się z zapisami o pogromie (s. 42, 43), a nie o pogromach. Zresztą próbę przedstawienia losów ludności żydowskiej na Pomorzu od końca 1938 r. do wywozu ostatnich Żydów do obozu zagłady latem 1942 r. (s. 43) cechuje niebywała fragmentaryczność, przypadkowa – nieprzemyślana – kolejność prezentacji faktów bez ciągłości poznawczej; jednym słowem – chaotyczność. Co stało na przeszkodzie, aby podać ważny konkret, a mianowicie – co to za „niewielkie miejscowości”, w których przez ok. dwa lata „mieszka-li” (sic!) w obozach zagłady Żydzi (w okolicach Lublina), „by pod koniec 1942 r. zostać unicestwieni w Bełżcu” (s. 43). Chodzi o Bełżec i Sobibór (działały od wiosny 1942 r.) oraz Treblinkę (od lipca 1942 r.).

Wybrane przykłady niedomówień, niejasnych zwrotów i określeń, zaniechań doprecyzowań interpretacyjnych w szkicu (części) 3.2.: *Borchardtowie – dynastia przedsiębiorców koszalińskich*

„Zajmował się on także transakcjami bankowymi w złotej i srebrnej monecie [! – J.L.], także z mennicą berlińską” (s. 45). Co to za tajemnicza „moneta”? Talar, gulden? W niewiedzy pozostaje czytający, zainteresowany skonkretyzowa-

niem nazwy i właściciela „mennicy” w stolicy Brandenburgii-Prus w pierwszej ćwierci XVIII stulecia. To mennica państwowa, oparta na monopolu władcy, w tym czasie (wymienionego poniżej) – króla Fryderyka Wilhelma I (1713-1740). Jest mowa o „zaopatrywaniu lokalnych warsztatów [krawieckich? – J.L.] w materiały” (s. 45). W jakie materiały? Tekstylnie (sukno, płótno, cąg, haras)?

Tych kilka zdań z jednego akapitu (s. 45) może być przykładem ‘produktu’ powstałego poza kontrolą poziomu formalnego, zwłaszcza zaś w następstwie zignorowania potrzeb poznawczych czytelnika. „Pierwsze protesty konkurencji zostały przewyciężone przez konkretne profity całej branży i poparcie władz garnizonu. Borchardt mógł odtąd zatrudniać [...] krawców, pracujących głównie na lokalnym surowcu [...]. Wsparcie króla [...] w rozwoju ważnego węzła komunikacyjnego i siedziby solidnego kontyngentu wojskowego pozwoliły na [...] modernizację Koszalina, który stał się szybko centrum regionalnej administracji [...]. Pozycja finansowa i uznanie władz pozwoliły mu w latach dwudziestych [...] przewodniczyć »sejmikowi żydowskiemu« w Stargardzie i pozyskać [...] prawo się osiedlenia w Koszalinie”. Co to za „konkurencja”? Jak rozumieć „konkretne profity całej branży”? O jaką „branżę” chodzi? Co to za „władze garnizonu”? „Lokalny surowiec” – co to takiego? Brak konkretów na potwierdzenie, że król ma zasługi „w rozwoju [Koszalina jako – J.L.] ważnego węzła komunikacyjnego”. Jak wyobrazić sobie „solidny kontyngent wojskowy”? (wcześniej jest o garnizonie). Na czym polegała istota „intensywnej modernizacji Koszalina”? Czy chodzi o odbudowę i zabudowę na nowym planie po pożarze miasta w 1718 r.? Bez konkretnego zdanie, iż Koszalin stał się „centrum regionalnej administracji”. Czy był siedzibą jakichś urzędów, instytucji administracji (poza wojskową) i jakiej – państwowej (np. ogólnej bądź o profilu gospodarczym?), może kościelnej? Nic w tym znaczeniu. Gdzie osadzić chronologicznie „lata dwudzieste”? Co to „sejmik żydowski” w Stargardzie? Od kiedy istniał, dlaczego w Stargardzie, w jakim trybie i przez kogo był zwoływany, w odniesieniu do jakiego terytorium diasporry i w jakim zakresie wydawane były wiążące decyzje i postanowienia? Podsumowując ten akapit – bodaj jedenaście niedomówień rzeczowo-interpretacyjnych. Kumulacja niebywała.

Zdanie na s. 45 to istny dziwoląg na etapie wykładni, nadto niejasny treściowo bez podstawowego konkretnego: „Królewskie reformy administracyjne (1728) zamieniły indywidualne opłaty koncesyjne [...] na sumaryczne odprowadzanie należności za wszystkich Żydów w kraju do kasy państwowej”. Jak „reformy administracyjne” miały cokolwiek „zamienić”, zwłaszcza w dziedzinie podatków? Ponadto, konkretnie: król pruski Fryderyk Wilhelm I zadecydował o nowym podziale administracyjno-terytorialnym Pomorza brandenbursko-pruskiego (na wschód od Odry), przygotowanym w latach 1723-1724, a obowiązującym od 1 I 1725 r. (14 powiatów administracji samorządowo-rządowej). Datę 1728 r. należy wiązać z ograniczeniem wówczas przez króla liczby koncesjonowanych rodzin żydowskich na terytorium Pomorza po prawej stronie Odry do 65.

Mniejszego ‘kalibru’ niejasność znajduje się na s. 47: nie wiadomo, czy na targach były „hurtowo nabywane pasy polskie”, czy krosna, na których je tkano. Cały

długi akapit – prawie jednostronicowy (s. 49) – o bursztyńnictwie, bursztyńnikach, szlifierzach jest skutecznie przemieszany, pogmatwany problemowo, ujawnia niestanności w dopracowywaniu i używaniu nazw, określeń (itp.). Zapytać wypada, jaką to „dziedzina [...] zajmowała się też żydowska rodzina Abraham ze Słupska. To prowadziło też do konfliktu z gdańskimi szlifierzami”. Chodzi o pozyskiwanie (eksploatację) bursztynu, handel tym surowcem czy może o handel gotowymi już produktami, skoro trwał konflikt ze szlifierzami, i właśnie „to prowadziło” (a więc nie wiadomo co) do konfliktu interesów. Można płatać się w domysłach również dalej, wiążąc ową „dziedzinę” z „przedsięwzięciem”, które zostało „oddane ze stratami”. Ponownie mamy tu dowolność wyboru między gromadzeniem (eksploatacją) surowego bursztynu (określanego też jako kamień bursztynowy) a handlem tym surowcem; ale ‘pasuje’ jedno i drugie. Kim byli „szlifierze tych pereł Bałtyku”? Pojęcia szlifierz nie ma w fachowej literaturze naukowej. To po prostu mistrz-bursztyńnik, należący do właściwego (terytorialnie) cechu bursztyńników. Bursztyńnik to też szlifierz, ale często uczeń-czeladnik, natomiast mistrz opracował wyszlifowany bursztyn w pierścionki, bransolety i inne precjoza.

Brak ujednoczenia faktograficznego przy ewentualnym zwróceniu uwagi, że chodzi o jedno i to samo. Mamy oto (s. 47), że „Borchardt [...] odziedziczył funkcję starszego w sejmiku żydowskim”, zaś wcześniej (s. 45) „o przewodniczeniu sejmikowi żydowskiemu w Stargardzie”. Oprócz tego błąd: stanowisko „przewodniczącego” czy też „starszego” w sejmiku, reprezentującego diasporę żydowską – w tym przypadku – z obszaru Pomorza brandenbursko-pruskiego (na wschód od Odry), nie było dziedziczne, tylko wybieralne i potwierdzone przez władze państwowe.

Uwagi do treści niemających dopełnień rzeczowych ze spisu 13. rodzin żydowskich (s. 50-51). 1. „otrzymał koncesję 2.10.1783”. I nic więcej. Koncesje mogą dotyczyć wielu uprawnień, pozwoleń, ułatwień, np. w zakresie jakiejś działalności gospodarczej (wytwórczej, handlowej). Wcześniej jest (s. 45) o uzyskaniu przywileju na „prowadzenie rzemiosła”. Można też domniemywać (ale czy słusznie?), że chodzi o list koncesyjny, aby uzyskać status Żyda tolerowanego (por. s. 31). Dlaczego przy kolejnych nazwiskach głów siedmiu rodzin żydowskich są różne dopełnienia: „otrzymał koncesję” (dwa razy), „obdarzony koncesją” (dwa razy), „posiada koncesję”, „ma koncesję”, „dostał koncesję”.

Autor zmieścił w kolejnym fragmencie (część 3.3., s. 52-55), który określił jako „paragraf” (!), wspomnienia Żydówki, zapewne koszalinianki (miejsce urodzenia jest przemilczane). Na tym przykładzie widać, że autor decydując się na przytoczenie tego rodzaju tekstu rzeczywiście „nie zachował jakiejś akademickiej dyscypliny” (s. 52 ??), cokolwiek by to oznaczało w autorskim pojęciu. Nie wykazał się niezbędnym tu krytycyzmem, odrzucił rzeczowy przegląd redakcyjny cytowanego tekstu, nawet pod względem techniczno-formalnym.

Nie wiemy (m.in.), skąd zaczyna się tekst wspomnień i gdzie się on kończy. Czy to jest całość, czy fragment/fragmenty „szczyrych zapisków”? A zaczyna się tak (ostatni akapit, s. 52): „Również pani Podoll była rodowitą mielnianką”. To początek wspomnień czy zaproponowany do druku przekaz od dowolnego miejsca? Skąd po-

chodzą dzisiejsze nazwy koszalińskich ulic, instytucji (np. szkoły). Jeżeli autor dostrzegł taką potrzebę uzupełnień (aktualizacji) – zgoda, ingerencja przydatna. Dlaczego pozostawił bez wyjaśnienia (w przypisie) gatunkowo istotny problem, kryjący się w zdaniu (s. 53): „Jakob, który do zakazów norymberskich [?! – J.L.] zatrudniał również aryjskich pracowników”. Przede wszystkim nie „zakazy norymberskie” tylko dwie ustawy norymberskie z 15 września 1935 r., które zrodziły określone rozporządzenia wykonawcze w formie rasistowskich nakazów i zakazów pod adresem niemieckiej ludności (obywateli Rzeszy) pochodzenia żydowskiego. Kwintesencją pierwszej z nich – *o obywatelstwie Rzeszy* (Reichsbürgergesetz) Żyd nie może mieć takich samych praw, jak osoba uznana przez ustawę za Niemca (segregacja polityczna). Z drugiej ustawy – *o ochronie krwi niemieckiej i niemieckiej czci* (segregacja biologiczna) wywodzą się trzy zakazy, m.in. zakaz zatrudniania służby (pracowników) pochodzenia aryjskiego u Żydów. Wywód uzupełniający być może obszerny, ale najkrótszy, by cokolwiek ustalić. I takie miało być zadanie dla krytycznego autora, dbającego o aktywność poznawczą czytelnika swojej książki.

Krótki fragment z cytowanego wspomnienia zastanawia, na ile jest on zapisem tylko jego autorki, a na ile następstwem ingerencji autora książki (s. 54): „Przy ul. Piastowskiej (Teichstrasse) stoi willa, dziś [wspomnienie „zrobione w latach 1995-96” – J.L.] w stanie ruiny, własność BWSH, którą w latach 1928-30 zbudował za kredyt 150 000 marek (spłacanych do 1960 [!]) właściciel browaru”. „Spłacanych”? Czy kredyt był rozłożony na raty, które miały być spłacane do 1960 r.?

Należało bezwzględnie (a wszystko jedno gdzie – w tekście głównym, przypisie) – wyjaśnić, kto to taki (s. 175) ów „Reinbern [...] późny dziedzic Abrahama i Mojżesza” (sic!). Nawet zapewne większość kołobrzeżan nie wie, że to pierwszy biskup pomorski na stolicy biskupiej w Kołobrzegu, utworzonej w roku 1000 (rezydujący w tym grodzie zaledwie 5 lat).

Błędy rzeczowe – problemowe (i szczegółowe)

Dobrej koniunktury ekonomicznej „w okresie wojen napoleońskich” nie doświadczyli w Koszalinie tylko jego żydowscy mieszkańcy (s. 32). Dotyczyło to wszystkich innych miejskich rzemieślników, wytwórców, trudniących się handlem na potrzeby armii pruskiej (1806-1807), zwłaszcza reformowanej, a uczestniczącej w kampaniach antynapoleońskich od początku 1813 do połowy 1815 r. Inna sprawa, co w datacjach skrajnych jest brane pod uwagę na oznaczenie „okresu wojen napoleońskich”? Z reguły należałoby zapis zindywidualizować dla każdego państwa, a nawet regionu Europy. Wedle tego ogólnego określenia, użytego w publikacji, mamy uzasadnione prawo zakładać, że chodzi o cezury 1799-1815. Dla Prus – a zatem pruskiego Pomorza, w tym Koszalina – „okres napoleoński” w znaczeniu konfrontacji wojennych, przedzielonych wymuszonym sojuszem z napoleońską Francją, zaczął się jesienią 1806, a skończył się w połowie 1815 r. (Waterloo).

Chciałoby się znaleźć potwierdzenie źródłowe (w przypisie bibliograficznym), skąd autor zaczerpnął informację, że to po jakichś nieukonkretnionych „sporach

o obowiązki cywilne”, w które zaangażował się także koszaliński Żyd, został wydany edykt w sprawie „die bürgerlichen Verhältnisse der Juden” w całych Prusach, datowany 11 III 1812 r., wydany w Stargardzie. Po pierwsze, należało literalnie zaznaczyć, kto z kim (na jakim instytucjonalnym szczeblu) prowadził spór bądź kształtował ustalenia co do konkretnych nie tylko obowiązków, ale i praw „cywilnych” dla Żydów, które zatwierdził władca pruski. Po drugie, Stargard był wówczas (od 1808 r.) siedzibą rządu Pomorza (Regierung Pommern), Szczecin zaś znajdował się pod dominacją garnizonu francuskiego. Edykt, o którym mowa, opracowany przez zespół doradców na czele z kanclerzem Hardenbergiem, uzyskał akceptację króla Fryderyka Wilhelma III, a następnie został datowany i opublikowany w Berlinie; bo i po co, z jakiego powodu miało się to odbyć w niewielkim prowincjonalnym mieście?

Błąd faktograficzno-chronologiczny. Czytamy (s. 32), że salę modlitwy „odnowiono w latach 1835-1840”, ale w cytowanym fragmencie przypisu stoi: „der 1835 auf der Kosten der israelitischen Gemeinde renoviert wurde”, czyli że została wyremontowana w 1835 r. Nieprawdą jest, że „w 1885 r. wybudowano [...] synagogę” (s. 35), bowiem położenie kamienia węgielnego nastąpiło 1 VII 1884 r., a uroczystość poświęcenia synagogi odbyła się 23 IX 1886 r. Nie „Partia Chrześcijańsko-Socjalna” (s. 40) – raczej Ruch Chrześcijańsko-Społeczny.

Błędne formuły zdań, nielogiczności rzeczowe i składniowe

„Koszalin [...] cieszył się [...] tradycją obecności Żydów” (s. 31); „dobre kontakty handlowe z Polską mogą sugerować ten obszar pochodzenia” (s. 32). Kto odnajdzie sens znaczeniowy w tym zdaniu: „Ponieważ władze zarzucały mu ukrywanie [...] malwersacji [...], Borchardt i Loysler Marcus [...] wystąpili [...] z postulatem obowiązkowej nauki niemieckiego dla żydowskich dzieci” (s. 32). „Życie religijne [...] zorientowane [...] ku Szczecinkowi” (s. 32); „notuje się [...] prywatną salę modlitwy” (s. 32). „Po okresie rozkwitu ekonomicznego koszalińskich Żydów w okresie wojen napoleońskich nadeszły czasy na pełną emancypację obywatelską” (s. 32). „Razem z demografią rozwijał się też wachlarz zawodów i zajęć” (s. 32); „liczba Izraelitów potrzebowała [...] regulacji życia” (s. 33); „ekstremalne tendencje reformatorskie”, a dalej: „radykalnie liberalny rabin” (s. 33). „W archiwach [? – J.L.] zanotowano [...] kantora” (s. 33). „Stowarzyszeniu kobiet kierowały”; „kadencję zarządu [...] objęli” (s. 34).

Z konsekwencją godną lepszej sprawy autor eksploatuje w różnych miejscach jedno słowo, określenie, bez dopełnienia jego przykładowej w danym miejscu istoty, poprawnie przy tym wtopionej w przekaz rzeczowo-narracyjny. „Struktura”/„struktury” – oto wyraz na miarę uniwersalnego klucza, który otwiera bądź domyka, ale ułomnie konstrukcyjnie i pseudoznaczeniowo, zbyt wiele zdań, z których niewiele, względnie nic nie wynika poznawczo. „Życie społeczne w ramach gminy podkreślają różne jej struktury”, a strukturami mają być – jak sobie autor zażyczył –

Żydowski Związek Kobiet, Bractwo Pogrzebowe, chór synagogalny, stowarzyszenie literackie (s. 34). „Chór synagogalny” strukturą?! A nie może być (bo jest) chórem, ewentualnie towarzystwem/związkiem śpiewaczym gminy żydowskiej? Uzyskał status „struktury” tak jak „Bractwo Pogrzebowe” i trzeba się z tym pogodzić. W niemal identycznym stylu, lecz bardziej udziwnionym: „Tylko przez porównanie z opracowaniami historycznymi gmin [...] [brak przykładu – J.L.] można domniemywać, że i w Koszalinie powstały [...] struktury polityczne” (s. 34). Jakie „struktury polityczne”? Ano – „patrioci frontowi”, „masoni” (sic!). Tu jeszcze uzupełnienie „struktur społecznych” w gminie żydowskiej w rodzaju, nadto w liczbie mnogiej: „kluby sportowe”, „stowarzyszenia naukowe” (s. 34). Kumulując ten problem formalno-rzeczowy mamy dotąd: „struktury gminy” (s. 33); „życie gminy [...] podkreślają [...] struktury” (s. 34); „struktury polityczne” (s. 34). A dalej: „struktury miasta” (s. 34); „centralna struktura [dotyczy synagogi – J.L.] na planie krzyża” (s. 35); „w strukturach komunalnych” (s. 38) – bez konkretnego; „w strukturach państwa” (s. 40) – bez konkretnego.

Ciąg dalszy przykładów ułomnych zdań (ich fragmentów): „rozporządzenie [...] otwierał drogę kariery” (s. 35); „usunięcie przeszkód karierze rządowej [sic!], wojskowej i uniwersyteckiej” (s. 35); „Zachowały się wizerunki synagogi leżące na skraju parku na wałach (plantach)”; „Godne zaznaczenia jest wyjątkowe [...] wyposażenie w organy” (chodzi o synagogę – J.L.); „Już w czasie budowy świątynia wydawała się zbyt obszerna, ze względu na malejący udział członków gminy w liturgii świątecznej”. „Żydzi mieli dwa cmentarze, które również uległy dewastacji hitlerowskiej [...], kiedy to Niemcy poprzewracali nagrobki [...], dom pogrzebowy [...] spalono i zburzono” (s. 36). Niezły ‘rozmach’ miała ta „dewastacja”. „Stary kirkut [...] był używany” (s. 36); „cmentarz zaopatrzony był w kaplicę” (s. 37); „czytamy klasyczny przykład nowomowy” (s. 37); „nie sposób wygrodzić miejsca” (s. 37); „modernizacja państwa [...] zaangażowała [...] środowisko żydowskie. Niektórzy z nich stanęli nawet na stanowiskach kierowniczych w mieście” (s. 38). A jakie to „stanowiska”? Na przykład zarządzanie własną fabryką; „[...] szkoła ekonomiczna dla specjalizacji kupieckiej” (s. 38). Dlaczego nie szkoła handlowa? „Wkrótce jednak polityczna moneta miała się nieoczekiwanie i fragmentarycznie odwrócić dla »żydowskich Niemców«” (s. 39; na s. 35: „stali się Niemcami wiary mojżeszowej”); „rozsiewając zarzewie” (s. 40); „ulotki [...] podsuwały mieszankę ideologii [...] i wyjaśnienia [...] religijne dla nienawiści” (s. 41); „udział [...] Żydów w życiu publicznym [...] pozostawał na wysokim poziomie” (s. 41); „Jako owoc rewolucji [...] zaczęły do Niemiec napływać fale [...] »tzw. Ostjuden«” (s. 41); „aresztowania pojawiły się [...] i przyniosły [...] próby izolacji tego »kryminalnego elementu« w postaci obozów koncentracyjnych (internacyjnych)” (sic!) (s. 41).

Fatalnej w sposobie przekazu wiedzy, a przy tym groteskowej polszczyzny ciąg dalszy: „Kryzys ekonomiczny 1929 r. i rozwój narodowego socjalizmu wskazywał jednoznacznie w masowej propagandzie Żydów, jako winnych niemieckich nieszczęść” (s. 41); „Nastroje [...] doprowadziły do [...] wylud-

nienia gmin żydowskich przez spadek urodzeń i emigrację” (s. 41-42); „»Epo-ka« Hitlera rozpoczęła się [...] bojkotem sklepów i innych usług w rękach żydowskich, w maju zaś zasłynęła usuwaniem i niszczeniem książek” (s. 42); „ustawy [norymberskie – J.L.] [...] dokonały [...] klasyfikacji obywateli [...] i doprowadziły do izolacji Żydów pośród społeczeństwa” (s. 42); „wykluczenie z poszczególnych dyscyplin zawodowych” (s. 42); „»Kryształowa noc« [...] zastała w Koszalinie ostatnie 10 rodzin” (s. 42); „Reakcja [...] była zdystansowana [?! – J.L.] na skutek strachu lub obojętności” (s. 42); „Posiadał [...] pozycję ekonomiczną jako lokalny przedsiębiorca” (s. 45). „Z 15 000 talarów w skali państwa” (s. 45); „podopieczni wiary mojej” (s. 45); „pokrywali koszty zachowania własnego kalendarza (na rzecz szkolnictwa)” (s. 45) – kto to rozumie? „[...] łożyli na rozwój reformy kościelnej (tzw. Montis-Pietatis-Geld)” (s. 45-46) – brak czytelnej wersji; należało wyjaśnić, a nie pisać dla siebie (to jeden z licznych przykładów tej natury); „właścicielem sieci kilku manufaktur [...], produkującej” (s. 47); „kilkadziesiąt (ok. 60) osób” (s. 47) – wystarczyło „ok. 60”, bo to informacja wystarczająca, bardziej zwięzła niż „kilkadziesiąt”; „Rosnący w kapitał fabrykant” (s. 47); „Tę swoją nową produkcję uczynił konkurencyjną na tragach [...] i przez rozwinięty eksport [...] i otrzymał od miasta nową siedzibę” (s. 47) – obiekt – nieruchomości to „siedziba”, a nie można było konkretnie, prosto, np. na potrzeby rozwoju swojego przedsiębiorstwa (manufaktury) otrzymał od władz miasta budynek dawnej szkoły tkackiej? „Roczna produkcja [...] prawie zaspokajała zapotrzebowanie na ten towar na Pomorzu Zachodnim i była sprzedawana [...] w innych częściach kraju” (s. 48). Pytania: produkcja czego; skąd wiadomo, na jakiej podstawie, że „prawie”. To oznacza, że nie zaspokajała zapotrzebowania, więc nie istniała nadwyżka (czegoś), wobec tego nie było co eksportować.

Zaciekawia (i słusznie) „wzruszający swoją oryginalnością dokument” (s. 50). Co jest ową cechą aż wzruszającej oryginalności tego – konkretyzując – „oryginału spisu rodzin żydowskich”? Czyli „oryginalność” od „oryginału”? To po prostu na pewno cenny dokument archiwalny, autentyczny urzędowy spis grupy ludności z początku XIX w. Powinien aż wzruszać? A przy okazji, budzi ciekawość autorski zwrot (z analizy wstępnej tego spisu) o „szczególnych informacjach” o „powiązaniach cywilnych” (głów żydowskich rodzin?). W żadnym razie nie można na nie natrafić, chyba że autor za „powiązanie” uważa otrzymanie przez Żydów koncesji na legalny pobyt i konkretną działalność gospodarczą?

Jak rozumieć, że ktoś (koszaliński Żyd) „działał pomiędzy polityką i ekonomią” (s. 51); „[...] popularny wizerunek Żyda [...] łatwo odróżnia go [chodzi o wiek XIX – J.L.] przez strój [...] i wygląd [...] od reszty ludności” (s. 51); „wypędzeni i pozostali w 1968 r.” (s. 52): „wypędzeni” (czytaj zmuszeni do wyjazdu) w 1968 r. – tak, „pozostali” nie „w”, tylko „po” 1968 r. „Jej bardzo osobiste i szczere zapiski zrobione w latach 1995-96, oparte są na konsultacji książki adresowej i telefonicznej” (s. 52). Dobrze, iż nie na „szczerej” konsultacji z książką adresową. Ale i tak wręcz rozbijające. „Historia rodziny koszalińskich Baruchów na Pomorzu” (s. 56); a gdzie – jak nie na Pomorzu – leży Koszalin?

Ten skrót to wyjątkowa oryginalność: „przed początkiem II w. ś.” (s. 57); „zapamiętany w archiwach koszalińskich” (s. 58) – pomijając dziwaczność stwierdzenia, pytamy, o jakie archiwa chodzi (ile ich jest w Koszalinie?). „Wykres genealogiczny profesora posiada pewną druzgoczącą wskazówkę” (s. 58). „Tom [...] opatrzyłem trzema aneksami” (s. 84). Kompletne i uduchowione uogólnienie: „Ich historia [tj. Żydów – J.L.] jest częścią bogactwa naszego dzisiejszego środowiska i szkołą życia” (s. 84). „Wśród [...] nazwisk o brzmieniu niemieckim [...] notuje się 4 o kształcie słowiańskim” (s. 116).

Niekonsekwencje oraz błędy w podawanych nazwach miejscowości

Wymienione są nazwy 11 miast (s. 40) – w tym 9 po polsku, zaś 2 po niemiecku ze znakiem zapytania. Dziwne: „Hammerstein?” – to Czarne, „Konitz?” – to Chojnice (Konitz w dalszej części na tej samej stronie już bez pytajnika). Jest „Prade” (s. 49) – to jakaś mała miejscowość na wybrzeżu bałtyckim, trudna do zlokalizowania (ustalenia), może już nieistniejąca lub błędnie zapisana, a to się zdarza w tej książce. Przykład na potwierdzenie błędnych zapisów nazw (s. 49): „od wsi Tritt do Wittenbergu”. Nie „Tritt” tylko Trift, czyli Drewno (pow. sławieński) lub Głębocko (pow. kołobrzegi); co wybrać? – raczej Drewno. Wittenberg to Białogóra (pow. łębski). Kto, jak nie autor, miał dopełnić obowiązku rozszyfrowania tych i wszystkich pozostałych nazw miejscowości, zwłaszcza leżących po 1945 r. w granicach Polski? Z przetłumaczonego dokumentu archiwalnego (s. 51), zapisu zamieszczonego wspomnienia (s. 53-55) i innych źródeł (s. 57) wyłaniają się (w kolejności): „Krajenka” (a więc można po polsku), ale zaraz „Koenigsberg w Prusach”; dlaczego nie Królewiec jak dalej (s. 113)? Błędny zapis Varchmino (od niem. Varchmin) – a to wieś Wierzchomino (pow. koszaliński). Poprawnie dalej (np.) i po polsku: Jacinki, Lubiaków. Jeżeli koniecznie po niemiecku, to nie „Rogsower Allee”, a Rogzower (od Rogzow – Rokosowo). Znowu po niemiecku (i to jak!): „Thunow w powiecie koszalińskim” – to przecież Dunowo; „Schulzenhagen, na północy powiatu koszalińskiego” – to Śmiechów. Dlaczego tak: „Bernstein [Pełczyce k. Myśliborza]”, a niżej, i jak trzeba, „Nowogard” (s. 57)? Nawet znakomity Żyd ‘znad Dzierżęcinki’ (Leslie Baruch Brent) w zapisie swojej tytułatury używa nazwy Koszalin (s. 61), eksponując tym określony rodzaj i poziom kulturalnej czy wręcz politycznej poprawności, płynącej – zapewne – z poszanowania realiów historycznych.

W materiałach tzw. *Aneksu I* znaleźć można dalsze przykłady niestaranności, bałaganiarstwa, niechęci sięgania po niezbędne pomoce naukowe (?). I co poszło do druku? „Jastrowie/Ratzebuhr” – Jastrowie to Jastrow, „Ratzebuhr” to Okonek, „Baerwalde” to Barwice (s. 113); „Riesenburg” to Prabuty, „Marienwerder” to Kwidzyn (s. 114); „Schoenfliess” to Trzcianko; „Friedberg” to (na pewno) Strzelce Krajeńskie; jest też „Stargard [Szcz.]”, czyli Stargard Szczeciński (s. 115). I wreszcie: „Pinne” to Pniewy, „Bernstein” to Pełczyce (s. 129; por. s. 57); znowu „Koenigsberg/P” – choć już był Królewiec (s. 113); „Landsberg” to Gorzów Wielkopolski

(s. 131) – przy okazji dokładniej po niemiecku: Landsberg a.W. (w rozwinięciu Landsberg an die Warthe – Gorzów nad Wartą).

Przegląd tekstów opisowych i przedrukowanych źródeł tworzących w całości *Aneks 1* o tytule: *Archiwalia dotyczące Żydów w Koszalinie* (s. 95-134). [Część?] 1. *Księgi narodzin, małżeństw i zgonów gminy synagogałnej (1812-1874)* w AP (s. 95-98). Tytuł raczej nieprzemysłany. Tu „Księgi narodzin”, a nieco dalej (s. 99): „Zapisy urodzeń”. Lepiej było: *Księgi gminy synagogałnej w Koszalinie dotyczące urodzeń, zgonów i małżeństw z lat 1812-1874*. W zaproponowanym zapisie ‘pojawiają się’ „Księgi narodzin [...] i zgonów gminy synagogałnej”.

To rodzaj wprowadzenia do analizowanych w dalszej części konkretnych dokumentów; ‘wstępniak’ to jednak nieudolny – pogmatwany problemowo, z błędami i niejasnościami w zapisach terminologicznych, nazwach i tytułach z zakresu archiwistyki, a dopełnieniem uchybienia formalne (wszystko na zaledwie niecałych czterech stronach). W tytule należało podać rozwinięcie skrótu AP – a więc Archiwum Państwowe w Koszalinie. Autor rozpoczął (?) kwerendę w 1993 r. nie w AP tylko w ówczesnym WAP, także nie widząc potrzeby wyjaśniania, co te inicjały oznaczają: Wojewódzkie Archiwum Państwowe (oczywiście w Koszalinie). Teraz po kolei o tym, co wymusza ingerencje recenzenckie w różnych wymiarach. Najpierw zdanie (nie jedyne zresztą) wywołujące ‘filozoficzną zadumę’: „W kwerendzie [...] konsultowałem [...] materiały należące do zbioru [...]”. Jak można tak, wiedząc, co to kwerenda, jakie czynności i zamiary są z nią związane? Ponadto nie chodzi o zbiór: „Akt miasta Koszalina” tylko o zespół – Akta miasta Koszalina. Dalej oczywiste inne pomieszanie rzeczowych pojęć i nazw: „Poniższe poszyty obejmują [...]. Są to następujące zespoły z Rozdz. 1B (liczby oznaczają sygnatury)”. Poszyt zamienił się w zespół, a wcześniej zespół to zbiór. Przytoczone są konkretne numery nie zespołów (!), lecz pojedynczych opisanych poszytów. Niewyjaśnione oznaczenia: „Rozdz. 1B” (s. 95) i „rozd. 2C ba”.

Chybione są niestaranne tłumaczenia tytułów poszytów: np. „Akta nadsyłania opłat”; „Acta generalia o Żydach” (czego dotyczą te rzeczy ogólne?); „Akta starań przez Żyda [...] o zezwolenie” (s. 95); „Akta przyjęcia jako kwalifikowanych tutaj przebywających mieszkańców żydowskich pomiędzy obywateli państwowych [...]” (to naprawdę istny dziwołag językowy); „Akta dotyczące tutaj założonej przez Żyda [...] fabryki” (s. 96).

Powrót do pogmatwanych pojęć i określeń – „W zespole spraw zakładów przemysłowych”. Chodzi o zespół archiwalny czy o dział w zespole – Akta miasta Koszalina (?), bo dalej jest zapis o „innych działach” (zresztą anonimowych), na dodatek takich, których częściami są „zespoły”, a chodzi o poszyty (!). Skąd wiadomo, że „w innych działach znajdują się również materiały dotyczące Żydów, lecz nie wykazują tego tytuły zespołów” (poszytów)? Zwrot „w zespołach urzędowych ksiąg katastralnych” (s. 96) wywołuje pytania: gdzie znajdują się te „zespoły” i czy jest inna kategoria ksiąg metrykalnych niż „urzędowe” (może jakieś

prywatne?!); „[...] mamy księgę metrykalną [...] i 3 duplikaty ksiąg metrykalnych [...] pochodzących z archiwaliów” (s. 96).

To zdanie jest wytworem wybitnego uzdolnienia do pisania poza świadomością dokonywanej czynności związanej z przedstawianiem określonych (niekiedy nieprecyzyjnych) celów i założeń interpretacyjnych (niemal identyczne w swojej ‘kolorystyce’, zdanie będzie zacytowane nieco dalej): „Próba odczytania ksiąg metrykalnych i urzędu stanu cywilnego [sic! – J.L.] ma na celu ilustrację szczegółową historii koszalińskiej gminy żydowskiej poprzez analizy genetyczno-onomastyczne, statystyki dynamiki demograficznej, tradycje rodowe i tendencje demograficzne, powiązania rodzinne i wpływy zewnętrzne” (s. 96). Potrzeba dużo dobrej woli, aby rozpoznać się w tej gmatwaninie zamiarów lub co do inwencji i zakresów merytorycznych rozpracowań opartych na – istotnie – interesujących rękopiśmiennych dokumentach archiwalnych.

Czy „próba odczytania” udała się? Gdzie są wyniki analizy językoznawczej genezy nazw osobowych (nazwisk)? Co konkretnie kryje się pod pojęciami: „statystyki dynamiki demograficznej” i „tendencje demograficzne”? „Dynamika demograficzna” – tylko jakiego pokroju? Winna być zatem literalnie uwypuklona – jest przecież „tendencją demograficzną”. Czy „tradycje rodowe” to coś innego niż „powiązania rodzinne”? Chyba „powiązania” mieszczą się w „tradycji”? Ciekawe, gdzie i jakiego rodzaju ukonkretnione „wpływy zewnętrzne” (oddziaływujące na historię koszalińskiej gminy żydowskiej) zostały w książce opisane?

Jest 1974 r. – ma być 1874 (s. 96, tak samo s. 104). Budzi ciekawość, jak „książka telefoniczno-adresowa” Kołobrzegu i okolic z 1911/1912 r. mogła być „źródłem weryfikacji [...] nazwisk Żydów koszalińskich” (s. 97)?

[Część?] 1.1. *Zapisy urodzeń (AP)* (s. 99-111)

Wracamy do niemal identycznej zapowiedzi o zamiarach autora niezwykle wszechstronnego ambitnego wykorzystania – jako nośników przekazów konkretnych, przetworzonych informacji – tym razem danych o statystyce urodzeń w gminie żydowskiej. Oto zdanie wprowadzające (s. 99): „Próba odczytania tych zapisów ma na celu obserwacje statystyczno-demograficzne, onomastyczno-kulturowe i obyczajowe. Prezentujemy [...] niektóre elementy wpisów pierwszej księgi według mikrofilmu [...]”. Połączmy z tym wcześniejszy cytat (s. 96) – równie pełen przedwczesnego optymizmu co do uzyskania zapowiedzianych efektów po czynnościach analizy źródłowej, które trudno dostrzec. „Próba odczytania” – raz „zapisów”, drugi raz „ksiąg metrykalnych” – ma na celu „ilustrację [...] historii”, a w innym miejscu „obserwacje”, „ilustrację [...] historii gminy żydowskiej poprzez analizy” lub poprzez „obserwacje” („analizy” zamienione zostały na „obserwacje”). Analizy czego (?): „genetyczno-onomastyczne”, „statystyki dynamiki demograficznej”, „tradycje rodowe” (winno być: tradycje rodowych), „tendencje demograficzne” (winno być: tendencje demograficznych), „powiązania rodzinne” (winno być: powiązań rodzinnych), „wpływy zewnętrzne” (poprawnie: wpływów zewnętrznych; nadmieniając tu, iż nie dowiadujemy się o nich niczego, nie są wymienione).

A teraz, jakich autor, dzięki próbom odczytania, zamierzał dokonać „obserwacji”? Po pierwsze: „statystyczno-demograficznych”. Ale jakich przejawów procesów demograficznych? Zasadne jest to pytanie, bowiem wcześniej czytamy (s. 96) – nieco mniej ogólnie, ale także bezprzedmiotowo oraz pogmatwanie w operowaniu pojęciami – o zamiarze analizy jakiejś: „statystyki dynamiki demograficznej [...] i tendencji demograficznych”. Co z konkretami? Nadto, dynamika demograficzna, bez względu na to, czego dotyczy, jaki proces odzwierciedla (np. ruch naturalny, ruch migracyjny), jest przeciw tendencją demograficzną; należało ją tylko nazwać, skonkretyzować. I dalej, autor oznajmił, że „obserwacje” dotyczyć będą problemów „onomastyczno-kulturowych i obyczajowych” (a więc już nie: „genetyczno-onomastycznych”). Podsumowując jednym zdaniem – skończyło się także tylko na zapowiedziach „analizy” tych zagadnień.

Wątpliwości z racji niedopowiedzeń i nieprecyzyjnych określeń oraz pewnych rozbieżności w datacji wzbudza rozproszony (niespójny) byle jak opracowany materiał o statystyce urodzeń (lub narodzin), dzietności rodzin. Autor podaje podliczenia urodzeń w gminie w latach 1812 (faktycznie od 1813) do 1847 r. w odcinkach czasowych (okresach) i liczbę dzieci w poszczególnych rodzinach żydowskich (s. 99-113). Zamiast logicznie, z uwzględnieniem jednorodności tematycznej, łącząc zebrany materiał z dwóch ksiąg (s. 99-103 i s. 103-111), dokonać prezentacji, otrzymujemy wypisy i wielorakiego pokroju niejasności zawarte w próbach cząstkowych podsumowań autorskich. Statystyka urodzeń z pierwszej księgi kończy się danymi z sierpnia 1847 r. (s. 101), wypisy źródłowe tego typu z kolejnego materiału archiwalnego zaczynają się od września 1847 r. (s. 104). Brak jest zsumowania liczby urodzeń za 1847 r.: 1+4, co daje 5 urodzeń. Dalej dominuje wręcz rozgardiasz konstrukcyjny, wzmocniony ewidentnymi błędami w podliczeniach, co czyni nawet z oszczędnych podsumowań ewidentne ‘fałszywki’ faktograficzne. Daje temu początek kuriozalne zdanie: „W następnych latach 1849-1974 [! – ma być 1874 – J.L.], nie odczytanych szczegółowo z rejestru, liczba roczna narodzin kształtowała się następująco [...]” (s. 104); i mamy wykaz liczby urodzeń od 1847 r., a nie od 1849 r., zaś przy roku 1847 zapisano 4 urodzenia, a było 5 (por. s. 101 i 104). Najgorsze zaś jest to, że autor z przekonaniem serwuje zapisy statystyczne (1847-1874), nie mając do nich jednak zaufania, bo przecież literalnie oznajmia, iż nie zostały one „odczytane szczegółowo” (!). O dane z jakich lat chodzi – o wszystkie? Mimo własnych zastrzeżeń co do wartości zamieszczonych „szczeółowych” podliczeń autor jest jednak pewien, że „liczba roczna narodzin kształtowała się następująco” (!), po czym – bez żadnych wątpliwości w prawdziwość – przekonuje nas, iż „zanotowano w sumie 321 narodzin” (s. 104). Niech tak zostanie – recenzentowi nie zechciało się dokonać własnego podliczenia, kierując się wiarą w jego solidność. W zestawieniu o liczbie urodzeń w wyszczególnionych odcinkach czasowych (za lata 1812-1847) znajdują się zapisy o liczbie zmarłych. Pojawiają się one także dalej. To pozwoliło autorowi – po podliczeniu obu wartości – otrzymać „liczbę 318 osób przyrostu demograficznego bezwzględnie (bez uwzględnienia migracji i śmiertelności dzieci)” (s. 105). Uzyskaliśmy świadectwo – w jakże skondensowanym zapisie tego zdania – że autor ma kardynalne problemy z poru-

szaniem się po materii i terminologii demografii, w tym przypadku zarówno ogólnej, jak i (przede wszystkim) historycznej, dysponując dla swoich potrzeb własnymi podliczeniami, które są niekiedy nieprawdziwe. Od tego zarzutu należy zacząć, opierając się na recenzenckiej – wybranej – próbie konfrontacji faktów. Autorowi ‘wyszło’, że w latach 1812(1813)-1874 zmarło 200 Żydów z koszańskińskiej gminy synagogałnej (zestawienie, s. 104-105) albo 201, jak odnotował w innym miejscu (s. 125). Z recenzenckiego podliczenia wynika, że zmarło 197. Skąd różnica? Otóż w latach 1841-1850 zgodnie z autorskimi zapisami (s. 104 i 125) zmarły 42 osoby. Z ksiąg zmarłych (rejestrów zgonów) zamieszczonych w książce (s. 117-125) wynika np., że w tych latach zmarło 39 osób (s. 119-121). Czy to jedyny błąd autora w tego typu podliczeniach? I jeszcze o wspomnianych uchybieniach z zakresu metodologii i metod posługiwania się terminologią demograficzną. Autor różnicę między liczbą urodzeń i liczbą zgonów (nieważne, iż okazała się nieco zawyżona) nazwał wielkością „przyrostu demograficznego” (s. 105). To najistotniejszy wskaźnik ruchu naturalnego, tj. przyrost naturalny. W tym aspekcie to zjawisko demograficzne ma na pewno wymiar „bezwzględny” (bo matematyczny: plus-minus). Aby nadać mu takowe cechy i walory prawdziwości statystycznej, absurdem byłoby pominięcie dla obliczenia wielkości absolutnej i wskaźnika przyrostu naturalnego „śmiertelności dzieci”. Wśród 201, 200 bądź 197 zmarłych Żydów „znajduje się porażająca część [...] dzieci” (s. 125); dane z przytoczonej archiwalnej statystyki śmiertelności zostały przecież uwzględnione przez autora. Skąd zatem wzięło się absurdalne zastrzeżenie o nieuwzględnieniu „śmiertelności dzieci”, skoro to i tak nieprawda. Oczywiście z kolei jest, że do (‘autorskiego’) „przyrostu demograficznego bezwzględnego” (naturalnego) nie wlicza się „migracji”, a konkretnie danych wynikających z bilansu migracyjnego (wędrówkowego; migracji i emigracji), dającego odrębne wskaźniki przyrostu względnego, cechującego badaną społeczność czy populację. Zsumowane wielkości ruchu naturalnego i ruchu migracyjnego (w obu przypadkach mogą być plusowe bądź minusowe) składają się dopiero na rzeczywisty wzrost bądź spadek potencjału demograficznego, inaczej – kształtowania się wielkości zaludnienia.

W trakcie rozczytywania się w autorskich metodach analizy źródeł statystyczno-demograficznych w trzech fragmentach *Aneksu 1* (w tym i o *Rejestracji małżeństw*; łącznie od s. 95 do 116) nie dało się nie zauważyć innego rodzaju bardzo wyraźnych potknięć formalnych w ‘technicznym’ i werbalno-znaczeniowym konstruowaniu zdań. „Pozostałe lata historii [...] reprezentowane są przez księgi” (s. 96); „Ponadto w każdym z aktów umieszczona była nazwa” (s. 97); „Lata rejestrowe 1829-1847 nie zostały odczytane” (s. 101); „Zapis ten zawiera w sumie adnotacje o narodzinach” (s. 101); „zapisy w rejestrze narodzin [tu tytuł źródła – J.L.] stanu cywilnego z akt Sądu” (s. 103); „To ostatnie zestawienie daje wyraźnie liczbę” (s. 105); „Nowe rody składające z się kilku »gniazd« domowych” (s. 111); „w tym okresie zauważa się ponadto 14 rodzin” (s. 111); „Nie spotyka się w księdze”; „W obserwacji przynależności zawodowej notuje się przewagę kupców i przedsiębiorców” (s. 115); „W latach 40. i 50. [? – J.L.] zauważa się pojawienie nowych nazwisk” (s. 116);

„Wśród [...] nazwisk o brzmieniu niemieckim [...] notuje się 4 o kształcie słowiańskim” (s. 116). Tu pytanie: czy zdaniem autora „kształt słowiański nazwisk” to prawidłowa nazwa z terminologii językoznawstwa onomastycznego (?); „Pośród nestorów w gminie zauważamy wiek zmarłych” (s. 120).

Rozbiór krytyczny prezentacji archiwalnych materiałów statystycznych, zawartych w *Aneksie 1* (1.3: *Księgi zmarłych*, s. 117-126; 2. *Zapisy o Żydach w księgach z lat 1900-1942*, s. 127-129).

To wymysł analityczny, którego logikę mało kto pojmie. Piszący tę recenzję domyśla się – ale przecież nie na tym polega zdobywanie wiedzy, zawartej w jakimkolwiek tekście, tym bardziej przez ‘silącego się’ na krytykę recenzenta, który – z natury rzeczy – raczej wie nieco więcej niż większość czytelników. „Odczyt rejestru zgonów [...] przynosi informacje o proporcjonalnym do ludności wzroście liczby zgonów (126 w 27 latach)” (s. 120). I ciąg dalszy spostrzeżeń autorskich: „W liczbie 126 zgonów [...] znajduje się porażająca część zmarłych dzieci” (s. 125). Liczba zgonów proporcjonalna do ludności?! To kuriozalny zapis nieznanego dotąd wskaźnika demograficznego o niczym konkretnym nieinformujący. Kto to rozszyfruje, nawet wiedząc (a tego dopełnienia brak), że chodzi (chyba) o ogólną liczbę ludności gminy żydowskiej w Koszalinie? Nie uniknie się pytania zasadniczego, ale o znamionach dwuznaczności – bo to pytanie jest i poważne, i zarazem niepoważne (niemal złośliwe), o rodowodzie wywodzącym się z wypowiedzi autora, gdyż ten nie daje żadnej „informacji o proporcjonalnym do ludności wzroście zgonów”, chociaż zrobił „odczyt rejestru zgonów”, który dał mu ponoć taką możliwość. Jaka jest – przez kogo, na jakiej podstawie obliczona i gdzie zapisana – owa „proporcjonalność”, którą można przyjąć dla (nawet) teoretycznych statystycznych ustaleń, aby je w końcu czytelnie przeanalizować i wysnuć wnioski? Ludność koszalińskiej gminy żydowskiej wzrosła (dane z recenzowanej pracy) z 206 w 1843 r. do 389 w 1880 r. (potem systematyczny spadek: 317 w 1895 r.). Z rejestru zgonów za lata 1847-1873 wynika, że umierało od 2 do 10 Żydów. Konkretnie (dla przykładu): w 1869 r. zmarło 10, rok wcześniej (1868) 4, a rok później tylko 2 Żydów, przy – zauważmy – nic nieznaczących różnicach w ogólnym stanie liczebnym gminy. Gdzie tu proporcjonalność? To zwyczajne dzieło przypadku, losowość wydarzeń w rodzaju epidemii powodującej zwiększoną zachorowalność np. wśród dzieci? (w owym 1869 r. na 10 zgonów 5 to dzieci do 8. roku życia i jedno w wieku 13-14 lat). Średni coroczny (1847-1873) wskaźnik zgonów wynosi 4,5, ale to też żadna dziwna proporcjonalność, o której autor anonsuje, lecz nie udowadnia, w czym rzecz.

Gdyby autor dysponował lepszą wiedzą, względnie zechciał ją poszerzyć w trakcie pisania na użytek swojego ‘wypracowania’, to nie poraziłaby go liczba zmarłych dzieci, tym bardziej że jest zawyżona oraz źle są podliczone dane w przedziałach wiekowych zmarłych dzieci: do ukończenia pierwszego roku życia było 30, a nie 28, od 2 do 5 roku – 16, a nie 18. Ogółem zmarło 51 dzieci przed ukończeniem 10. roku życia. Nie ma podstaw (przesłanek), aby zaliczyć osoby z listy „o nie odczytanym wieku” do dzieci, czyli osób do ukończenia 14. roku życia (takie było kryterium

w Prusach, a cezura ta wynikała z przystępowania w tym wieku do konfirmacji w Kościele ewangelickim, dominującym w tym państwie). I jeszcze jedna podstawa do snucia wątpliwości. Z rejestru wynika, że aż przy 30 nazwiskach brakuje zapisu o wieku zmarłego, skąd zatem pewność, iż wśród nich było „około 20 dzieci”? Daremny to trud podążania tworzonymi przez autora ścieżkami myślowymi i takich przekazów historycznych. Pozostajemy przy tym, co pewne. Zmarło 51 dzieci w wieku 0-10 lat, co stanowiło 40,5% wszystkich zgonów w gminie żydowskiej (1847-1873). To rzeczywiście smutna statystyka, ale – w kontekście historycznym i na tle porównawczym – wcale „nieporażająca”. Pomimo niewątpliwych zdobyczy cywilizacyjnych wielkim wyzwaniem dla służby zdrowia w państwie pruskim jeszcze na początku XX stulecia (a co dopiero ok. pół wieku wcześniej) była bardzo wysoka śmiertelność niemowląt (0-1 lat) i w grupach wiekowych dzieci do ukończenia 10. roku życia. To wynik przede wszystkim nieopanowanych jeszcze medycznie (farmakologicznie) epidemii kilku chorób zakaźnych (np. szkarlatyna, dyfteryt, krztusiec). Na przykład w Białogardzie, mieście nieodległym od Koszalina, o porównywalnym standardzie życia społecznego i dostępie do służby zdrowia, w 1889 r. wskaźniki zgonów dzieci (w stosunku do ogółu) kształtowały się następująco w przedziałach wiekowych: 0-1 – 24,39; 2-5 – 20,23; 6-10 – 10,19, co dało razem aż 54,81% (nie wliczając dzieci martwo urodzonych). W latach 1908-1913 w prowincji Pomorze prawie co trzecią osobą, która zmarła, było niemowlę. Na 1000 chłopców w wieku poniżej 1 roku przeciętnie umierało wówczas aż 205, wśród dziewczynek 175. Uśrednione i skumulowane wskaźniki dla Białogardu z okresu 1889-1905, dotyczące zgonów dzieci przed ukończeniem 10. roku życia, to wielkości rzędu (pomijając dane za 1889 r., które są najwyższe), w kolejności chronologicznej (i w zakragleniu): 47,8; 41; 47,8; 51,1; 52,6 (w 1905 r.).

Nie da się zastosować tej samej metody obliczeń statystycznych na podstawie innych wypisów z archiwalnego źródła (*Lista zmarłych...*, s. 117-120), stanowiącego rejestr zgonów z lat 1812-1847, który został przez autora zsumowany z wielkościami dla okresu 1847-1874 (s. 125). Tych autorskich wyników nie da się też przetworzyć jakkolwiek metodą, bo są one nierzetelne, mało tego – błędnie obliczone. Czytamy, że dla dłuższego przedziału czasowego 1812-1874 „wpisy z obu ksiąg [raczej wypisy – J.L.] dają ogólną liczbę 201 zgonów”. Trzeba zapytać, jak autor wykorzystał do podsumowania dwie odmienne liczby zmarłych w 1847 r. Mamy oto (s. 120) imiennie raz dwoje zmarłych, drugi raz (s. 120-121) pięcioro. Te dwie wielkości są tuż po sobie, a pozostawione bez komentarza i ujawnienia decyzji, co i dlaczego autor uwzględnił w swoich podliczeniach. Zresztą, pytanie to jest w efekcie bezprzedmiotowe, bowiem ułomność zestawienia o liczbie zgonów w latach 1812-1874 (s. 125) jest oczywista (i krótka ‘przygoda’ z kalkulatorem to potwierdza), bez rozstrzygania (autor milczy), jakie dane z 1847 r. wliczono. Zmarło ogółem nie 201, a 200 osób, lecz i to podajemy w wątpliwość, gdyż (np.) w przedziale lat 1841-1850 nie zmarły 42 osoby, lecz 34 (!). Jak zatem brać na poważnie te i wszystkie inne pochodne obliczenia oraz wnioski autora? Są nic niewarte, bezsensowne, oparte na faktach i danych nieprzetworzonych krytycznie, a ewidentnie zafałszowujących historię.

Zamieszczona statystyka, stanowiąca pokłosie rozgardiaszu, braku dyscypliny i sumienności praktycznej, jest tym bardziej wątpliwej jakości źródłem poznawczym, gdy się skonfrontuje dwa autorskie sposoby uduziwnionego anonowania nieadekwatnych wniosków: po pierwsze (a to już znamy) „o proporcjonalnym do ludności wzroście liczby zgonów”, co ‘wychodzi’ jakby z analizy rejestru zgonów za lata 1847-1874 (s. 120); po drugie, że „dynamika wzrostu zgonów [...] jest [...] proporcjonalna do współczesnego wzrostu urodzeń” w dłuższym okresie 1812-1874 (s. 125), a na poparcie tej tezy sporządzono zestawienie liczby zgonów w siedmiu przedziałach czasowych, błędnie niekiedy zsumowanych (zob. dowód na potwierdzenie wyżej dla lat 1841-1850). Poza tym, zmontowanym po partacku, zestawieniem nie ma najmniejszego śladu zapisów (choćby wyrwykowych), traktujących o „współczesnym wzroście urodzeń”, wobec tego na podstawie czego mamy zawierzyć autorskiej – bez przesady – wyimaginowanej wypowiedzi o ujawnionym – ale tylko werbalnie (!) – wskaźniku proporcjonalności dysponując błędnymi wielkościami zgonów, a żadnymi o liczbie urodzeń (1812-1874).

W kolejnym fragmencie *Aneksu I* (2. *Zapisy o Żydach...*) natrafiamy na fantazyjne wprost ujęcia o „adnotacjach” (s. 127): „adnotacje [...] dokonywane były w odniesieniu do osób [...] w miejscu rejestracji faktu cywilnego”; „Odczyt mój [! – J.L.] nie jest kompletny, gdyż adnotacja rasistowska o pochodzeniu [...] nie jest wystarczającym kryterium [...]”; „Za lata 1927-1936 nie stwierdzono żadnych narodzin z adnotacją »norymberską«” (s. 128). Zapisu pierwszego nie da się racjonalnie rozwinąć; dwa następne – z „adnotacją rasistowską” i „adnotacją »norymberską«” (sic!) – należało logicznie (a zatem czytelnie) połączyć z „przepisami z lat 1935-1938” (także s. 127, pierwszy akapit) i nawiązać „do zakazów norymberskich” (s. 53), gdyby zostały one przez autora w sposób rzeczowy przybliżone; por. uwagi recenzenta (s. 256). I jeszcze jeden specyficzny dla tej książki, bo zawołowany, a nadto nielogiczny zapis składający się z krótkich dwóch fragmentów tekstowych, stanowiących ‘efekt’ przemyśleń po tzw. analizie *Zapisów o Żydach...* (s. 127-128): „Średnia liczba narodzin odnotowanych w Koszalinie, choć w dużej mierze w rodzinach wiejskich, w latach dwudziestych i trzydziestych waha się w granicach 590-450 z tendencją spadkową” (s. 128). To zdanie ‘test’ dla intensywnego pobudzenia – czego: ogólnego potencjału intelektualnego, konkretnej wiedzy? Nawet dysponując i jednym, i drugim – daremny trud na drodze poznania. Mamy oto czytać o Żydach na podstawie *Zapisów [...] w księgach [...]*, zaś autor zamieszcza statystykę „narodzin odnotowanych w Koszalinie”. Co ona ujmuje? Chyba liczbę urodzeń ogółem w mieście? To też wątpliwe, jeżeli chce się poważnie traktować kuriozalną część zdania wtrąconego, że w liczbie „narodzin [...] w Koszalinie” trzeba uwzględnić „w dużej mierze” urodzenia „w rodzinach wiejskich” (!). To wręcz niedorzeczność. Podane liczby urodzeń można było osadzić bardziej konkretnie w czasie, korzystając z *Dziejów Koszalina* (s. 240); chociaż po co, skoro to miało być o Żydach, a te liczby nie nadają się nawet do wykorzystania jako śladowy punkt odniesienia do tendencji w ruchu naturalnym w koszalińskiej gminie żydowskiej po I wojnie światowej, których (notabene) nigdy nie uda się całościowo (ani nawet fragmentarycznie) odtworzyć. Przy ewidentnym regresie

wielkości urodzeń (ogółem) z 590 na 450 truizmem było dodawać ocenę, że to „tendencja spadkowa”.

Po tej recenzenckiej próbie krytycznej oceny wartości przekazów autorskich, sformułowanych na podstawie rejestrów archiwalnych (s. 117-129), jeszcze trochę krytykanctwa. W przytoczonym rejestrze zgonów (s. 120-125) autor pozostawił – bądź sam uważał za stosowne tak zaznaczyć – różnorodne symbole zapisów, rodzaje ‘szyfrów’ na oznaczenie wieku zmarłych: 1 rok i 1 r.; 37 l. 10 m.; 24 d.; 7 tyg.; 74 l. 6 m. 18 d.; 1 d.; 1 r. 4 m. (itp.); skrót „pow.” (kilkakrotnie), czyli powyżej.

Uwagi do treści i sposobu prezentacji „*Listy cmentarnej z LBI (Nowy Jork)*”. Jest ona zamieszczona na s. 130-134. W tytule tego źródła należało podać pełną nazwę, a nie tylko inicjały Instytutu Leo Becka w Nowym Jorku (i ewentualnie w oryginale), w którego archiwum ta *Lista...* jest zachowana. Z takim zapisem po polsku stykamy się dopiero w 13. wierszu tekstu, a nadto znacznie wcześniej (s. 37). Powinno paść pytanie, co to za zestawienie – bowiem w tytule (s. 130) jest ono określone jako *Lista cmentarna...*, w pierwszym zdaniu „księga zmarłych” bądź „lista pochowanych” (s. 37), lub też „lista Barucha Brenta” (s. 130), co wymagało jednak uzasadnienia, gdyż trudno sądzić, aby ta konieczność uzupełnienia merytorycznego dla czytającego (‘tu i teraz’, s. 130) została spełniona blisko sto stron wcześniej (s. 37).

Może mniejsza o to. Ważniejsze jest – bo dotyczy faktów merytorycznych – iż przy próbie charakterystyki tej listy-księgi mamy wyraźne rozbieżności w przytaczanych liczbach, a całą za to odpowiedzialność ponosi autor. O co chodzi (m.in.) w zdaniu, że nie odczytano (tj. autor) „imion ok. 14 osób” (s. 130)? Po co „około” – liczba 14 to konkret, a poza tym trzeba się było zastanowić i ostatecznie dobrze policzyć, aby z całą odpowiedzialnością przekazać przetworzone nieco przez siebie dane z przeszłości. Dalej natrafiamy (s. 134), że „aż 29 zapisów (27 nazwisk) na liście nie udało się odczytać”, a należy sobie przypomnieć o znacznie wcześniejszym (s. 38) autorskim ‘rachunku’ – „26 nazwisk [...] nie daje się odczytać”. Z recenzenckiego obowiązku, aby nie być gołosłownym, oraz z ciekawości o zakres i poziom niestaranności dokonanego przez autora przeglądu listy, raczy się zauważyć: brakuje (biorąc pod uwagę znaki zapytania) 13 nazwisk i imion, 1 nazwiska, 34 dat urodzeń i zgonów, w 14 przypadkach daty urodzeń lub są one niepełne (zwłaszcza brak roku), w 5 miejscach daty zgonu bądź są one niedopełnione (brak roku). Ten stan faktyczny – niedostrzeżony przez autora – może posłużyć za komentarz.

Odnosząc się do zestawienia autor rozbrajająco szczerze a naiwnie przyznaje wyjaśniając, że lista cmentarna „zacierza [...] dane współwyznaczców [?] – J.L.] uporządkowanych alfabetycznie, co utrudnia prześledzenie chronologii dokumentu” (co za zdanie!). „Współwyznaczczy uporządkowani alfabetycznie”. Mamy się domyślać, że nazwiska zmarłych są ujęte w porządku alfabetycznym. I co z tego, tak bywa. Jeżeli zaś uniemożliwia to (dziwaczne) „prześledzenie chronologii dokumentu”, a jest (było) – zdaniem autora – ważne, dlaczego sam nie uporządkował listy według konstrukcji chronologicznej? Co w tym trudnego? A jeżeli miało to być istotne dla jakiegoś zakresu rozważań autorskich, tym bardziej powinno mobili-

zować do dynamicznego wykorzystywania (odczytywania) dostępnych i przytaczanych źródeł historycznych pod kątem przyjętych założeń konstrukcyjno-poznawczych i też badawczych. Jest to konieczna procedura, ale pod warunkiem, iż ma się ustalony cel poznawczy do osiągnięcia. Można było – przykładowo – nie szukać fantazyjnej „chronologii dokumentu”, a po prostu opracować statystykę wieku zmarłych w jakichś czytelnych (proporcjonalnych) odcinkach czasowych, z podziałem na mężczyzn i kobiety, wyciągnąć z takiego pakietu danych wnioski i ewentualnie porównać ze średnią wieku zmarłych pozostałych (nieżydowskich) mieszkańców Koszalina.

Co jeszcze dostrzeżemy, pochylając się – za radą autora – „nad naszą listą Barucha Brenta” (s. 130)? Już w samym jej nagłówkowym szyku znajdują się jakieś (niekiedy) tajemnicze czy uduziwnione skróty: „Nazw. panien.” – czyli nazwisko pannieńskie; „miasto poza K.” – czyli miasto poza Koszalinem; „Data śm.” – data śmierci. Jest: „Gru.”, „Wrze.”, „Kwi.”, „Czerw.” na oznaczenie nazw miesięcy, jakby nie można było wstawić cyfr rzymskich (IV, VI, IX, XII). I jeszcze o potrzebie wykreowania innej inwencji umożliwiającej autorskie ożywienie ‘martwych’ miejsc na „*Liście...*”. Mając przed sobą tylko datę zgonu i zaznaczony wiek zmarłego można przecież łatwo obliczyć rok urodzenia. Przykładowo: rok zgonu 1851, wiek zmarłego 74 lata i otrzymujemy do wpisu rok urodzenia 1777. Są też i inne wyróżniki dat – zawołowane, wieloznaczne, zmuszające do własnych (czytelniczych) ‘kombinacji’, ponieważ autor nie zadał sobie i tego trudu uzupełnienia w pełnym zapisie daty rocznej. Oto przykłady (s. 130, od góry, pomijając dzień i miesiąc): rok urodzenia 17, rok zgonu 93 – powinno być 1817 i 1893; rok urodzenia 80, rok zgonu 16 – powinno być 1880 i 1916; rok urodzenia 1773, rok zgonu 33 – powinno być 1833. Kto się domyśli, że 30.3.04 (s. 130, nr z *Listy...* 24) to rok 1904, a data zgonu „Maj 20” to rok 1920 (na tych wybiórczych przykładach spośród rozlicznych tego rodzaju niestaranności porzeczamy).

Inne uchybienia i błędy: s. 34: nie Bernard Jacob, tylko Bernhard Jacob; nie M. Pestachowski, tylko M. Pestachowsky; s. 35: w miejsce stylu neoromańskiego mamy styl „neoromanik”; s. 36: nie 1968 r., tylko 1868 r. (jak w przypisie 63); s. 40: jest „II niemiecka Rzesza”, a należało – II Rzesza Niemiecka; s. 41: mamy: „[...] w prawicowym »Koesliner Volksblatt«”, powinno być w prawicowej, bo to gazeta (ewentualnie – w prawicowym dzienniku); s. 49: „Brunszfik” – zamiast Brunszwik; s. 50: jest „Jacob” (trzy razy; także s. 51), a wcześniej „Jakub” (s. 47); s. 129: jest „1965 r.” – ma być 1865 r.

Za oryginalne przychodzi uznać autorskie konstatacje wyrażające szczególną motywację do edycji książki i to w takim stanie. Jak już wiemy (por. część pierwsza recenzji, s. 193) autor uznaje (s. 5) swój „tom” za „prowokację do rozmowy i dalszych badań”. Co więcej, o unikalności treści wartych upublicznienia – naszym zdaniem jednoznacznie wątpliwej jakości – autor przekonuje w innym miejscu, nie stroniąc od podkreślenia wyjątkowego wręcz ‘stanu użyteczności’ zebranego materiału, służącego „prowokacji” (s. 95): „Mam świadomość niedoskonałości mojego opracowania, lecz mam nadzieję, że historycy [...] podejmą wkrótce ten ciekawy

temat i uzupełnią [...] tę moją »provokację« na granicy legendy i mistyki» (sic!). Niczego nie da się uzupełnić. Należy wszystko zaczynać od nowa.

Autor, w pewnym sensie świadomy swojej „provokacji”, żywi mimo to nadzieję (s. 82), że książka „jakaś rolę spełni w lokalnym środowisku [? – J.L.]. Piszę ją z niepokojem, jak zostanie przyjęta [...]”. „Z niepokojem”? Teraz już wiadomo, czym podyktowanym. Jak to możliwe, że autor nie miał – choćby w wąskim zakresie – świadomości i wyobrażenia o rozmiarach i różnorodności potencjału „niedoskonałości [swojego – J.L.] opracowania” (co za eufemizm). Nie oddawał do druku tak skonstruowanych i napisanych „szkiców” z przekonaniem, bowiem „prosi czytelnika o cierpliwość i wyrozumiałość w przedzieraniu się przez gęstwę tego tekstu” (s. 5). Istotnie, długo trwało utrzymywanie na wodzy cierpliwości w trakcie zapoznawania się z sekwencjami, zaliczanymi do opracowań historycznych, czyli „przedzierania się przez gęstwę” tych tekstów o charakterze wyjątkowego misz-maszu z myślą o uzyskaniu rozległej podstawy, ażeby dopiąć swego – czyli sporządzić owe zapiski recenzyjne (kto by przypuszczał, że aż tak obszerne i rozbudowane problemowo?). Cierpliwości stało, ale wyrozumiałości już nie.

Racjonalna krytyka okazała się niemożliwa. W dobrze pojętym ‘interesie’ nauki historycznej, upowszechniającej ten wycinek (i w ogóle) historii Pomorza, należało taką wiwisekcję przeprowadzić, a więc literalnie dotknąć materii poznawczej, przygotowanej przez autora, i w miarę najdokładniej ją opisać (zdiagnozować).

Kwintesencją następstw braku nie tylko autoredakcyjnej cenzury, ale – przede wszystkim – autorskiej nieporadności, wywodzącej się ze splecionej wiedzy o najnowszej historii Polski bądź (być może) pewności siebie, że wszystko można napisać ‘z głowy’, bezrefleksyjnie i utrwalać (niestety) przekazy rażące swą ułomnością – gorzej, bo swoiście groźne w wymowie – jest kuriozalne wręcz stwierdzenie i wyjaśnienie w *Aneksie 3: Materiały dydaktyczno-publicystyczne* (s. 194). Czytamy ze zdumieniem, że hitlerowski obóz Auschwitz-Birkenau znajdował się „w Generalnej Guberni przy granicy z Polską” (sic!). Zapis w sam raz przydatny ‘dydaktycznie’! Tak więc Generalna Gubernia (Generalne Gubernatorstwo), z siedzibą władcy-kata Hansa Franka na Wawelu, to nie ziemie polskie, to nie część Polski (z Krakowem, Rzeszowem, Przemyślem, Lwowem, Kielcami, Radomiem, Lublinem, Warszawą itd.), to jakieś terytorium przylegające do „granicy z Polską”. Czy dla autora ówczesna Polska to w zasadzie tylko obszar Kraju Warty (Warthe-Gau; konkretniej hitlerowski dystrykt Górny Śląsk) wcielony bezpośrednio do III Rzeszy? Zgroza! Oto niezamierzony (chce się wierzyć) przekaz wiedzy i jej tak ‘wyszukana’ interpretacja. Czyżby w dziele rozprawy z kłamstwami o istnieniu polskich obozów koncentracyjnych (?) zrodziła się ta specyficzna i bardzo cenna interpretacja, bowiem wyklucza (tu na przykładzie Oświęcimia-Brzezinki) wręcz istnienie obozów zagłady w Polsce pod okupacją hitlerowską, budowanych i zamienianych w największe w dziejach fabryki wyrafinowanego ludobójstwa decyzjami i na krwiożercze rozkazy (od stycznia 1941 r.) wodza śmierci III Rzeszy – SS Reichsführera Heinricha Himmlera? Majdanek, Sobibór czy Bełżec również znajdowały się na terenie Generalnej Guberni, a zatem także nie w Polsce?!

I na koniec, dając pewien upust innego sarkazmu. Nie sposób zgodzić się i z taką autorską refleksją: „Szkoda, że dotąd tylko tyle udało się naszkicować do powstającego portretu zbiorowego koszalińskich Żydów” (s. 83). Jeżeli autor będzie miał czas, ażeby dokładnie przeczytać to, co napisał – i jak napisał – w tzw. części historycznej (choć za to raczej niemożliwe, że takiej czynności się nie podjął przed oddaniem swojego zbioru do druku), na pewno w trakcie autorecenzenckiej lektury od razu (jako człowiek solidnie wykształcony, obdarzony wieloma uzdolnieniami twórczo-humanistycznymi) dojrzyje do jednoznacznego wniosku, opartego na twardej realności, bo na konkretnych, że to „tylko tyle” należy skwitować: tylko tyle i aż o tyle za dużo.

JÓZEF LINDMAJER
AP SŁUPSK

* * *

Grzegorz Motyka, *W kregu „Łun w Bieszczadach”. Szkice z najnowszej historii polskich Bieszczad*”, Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 2009, ss. 189*

W 2009 r. ukazała się praca znanego badacza stosunków polsko-ukraińskich w okresie II wojny światowej, Grzegorza Motyki, pt. *W kregu „Łun w Bieszczadach”. Szkice z najnowszej historii polskich Bieszczad*. Nie jest to jednak nowa monografia tego autora, lecz zbiór szkiców, które wcześniej opublikował, a obecnie uzupełnił i wydał w postaci książkowej. Otwiera je artykuł *Zamiast wstępu: Od Wołynia do akcji „Wisła”*. Oczywiście można zapytać, co „Bieszczady” mają wspólnego z „Wołyniem”? Niewiele lub nawet nic, może paść odpowiedź. Ale pełni on funkcję wstępu, gdyż w ogólnym zarysie przedstawiono w nim najtragiczniejsze wydarzenia dla Polaków i Ukraińców w okresie wojny, co sprzyja zrozumieniu pozostałych artykułów. Na uwagę zasługują w tym „Wstępie” fragmenty (s. 13-16), w których autor dokonuje oceny klasyfikacji czynów popełnionych przez każdą ze stron i słusznie odrzuca przy tym opinie reprezentowane przez osoby związane z tzw. środowiskiem narodowo-kresowym, że mordy na Polakach „były trzecim ludobójstwem”, które w zestawieniu z ludobójstwem nazistowskim i sowieckim przewyższa je i może być porównywane jedynie z Holocaustem. Jest to ważne, gdyż niestety pogląd taki głoszą nie tylko ci, którzy stali się ofiarami działań „nacjonalistów ukraińskich”, co pozostaje zrozumiałe, ale także osoby, które nie doznały

* Jest to rozszerzona wersja recenzji, która ukazała się w języku ukraińskim w tygodniku „Nasze Słowo” w 2010 r.

krzywdy ze strony ukraińskiej i którym, wbrew faktom, w imię własnych partykularnych interesów nie zależy na dobrych relacjach polsko-ukraińskich. Świadczy o tym współdziałanie ich ze środowiskami usprawiedliwiającymi tzw. IV rozbiór Polski i jej wasalizację przez Związek Radziecki. Tym samym pośrednio usprawiedliwiają mordy na Polakach dokonane przez władze komunistyczne. Niemniej można mieć kilka uwag krytycznych. Autor, pisząc o OUN przed wojną, powinien dodać, że największym poparciem ludności ukraińskiej cieszyło się Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne, a ofiarami terroru OUN w większości byli Ukraińcy: 36 Ukraińców, 25 Polaków, 1 Rosjanin i 1 Żyd (A. Chojnowski, *Ukraina*, Warszawa 1997, s. 24). Trudno zgodzić się także ze stwierdzeniem, że władze II Rzeczypospolitej „poprzez administracyjne naciski” zamierzały spolonizować Ukraińców (s. 8). W tym celu podejmowano administracyjne działania, a nie tylko „naciski”, co potwierdza kwestia szkolnictwa ukraińskiego, pogłębiania podziałów wewnętrznych w łonie społeczności ukraińskiej czy chociażby wspomniana (s. 8) akcja brutalnego niszczenia prawosławia na Chełmszczyźnie w 1938 r. Uwagę można mieć także do zamieszczonych opisów mordowania Polaków przy braku takich, jeśli chodzi o Ukraińców. Robią to niemal wszyscy historycy polscy. Nie chodzi przy tym o relatywizację mordów na Polakach, lecz ukazanie, że i po stronie polskiej były przypadki okrucieństwa. Oczywiście można zgodzić się z podanymi liczbami ofiar (s. 13), ale należy zaznaczyć, że są to wyliczenia historyków polskich, a nie ukraińskich, a liczba ofiar po stronie ukraińskiej na Wołyniu nie obejmuje zabitych przez policję polską, będącą na usługach nazistów.

Następne dwa artykuły: „*Łuny w Bieszczadach*” Jana Gerharda a prawda historyczna i *Obraz Ukraińca w literaturze Polski Ludowej* dotyczą propagandy antyukraińskiej, realizowanej przez polskie władze komunistyczne. Fundament tej propagandy stanowiła właśnie powieść J. Gerharda *Łuny w Bieszczadach*, która była nie tylko obowiązkową lekturą szkolną, ale również doczekała się ekranizacji pt. *Ogniomistrz Kaleń*. Stała się ona wzorem dla innych propagandzistów i tak wiele napsuła w postrzeganiu Ukraińców, że skutki tego odczuwamy do dzisiaj. G. Motyka uświadamia czytelnikowi, że książka J. Gerharda nie ma dokumentalnego charakteru, jak ją przedstawiały władze komunistyczne, a jej celem było zafałszowanie prawdy. Szkoda, że autor w poszukiwaniu prawdy pisze: „Inna rzecz, że całkiem prawdopodobne [podkreślenie R.D.], iż rannych żołnierzy dobito na polu walki i przynajmniej w jednym wypadku użyto do tego siekiery” (s. 21), a przy temacie Terki (s. 22) nie wspomina, że część mieszkańców tej wsi wojsko spaliło żywcem. Pisząc o propagandzie, G. Motyka trafnie stwierdza, że: „Pomijano także milczeniem wszelkie fakty dotyczące UPA, które mogłyby zostać przez Polaków odebrane pozytywnie, np. jej walkę z Niemcami oraz długotrwały opór przeciwko ZSRR na Ukrainie w latach 1944-1954 [a nawet do 1960 r. – R.D.]. Za to akcentowano wszelkie wypadki współpracy niemiecko-ukraińskiej oraz wybrane, szczególnie okrutne mordy dokonane na Polakach” (s. 40). Być może w tej propagandzie chodziło, jak zauważa G. Motyka, o wytworzenie stereotypu „dobrego” i „złego” Ukraińca. „Dobry” to komunista, a „zły” to ten, który chce niepodległej Ukrainy. Ten ostatni to

właśnie Ukrainiec – nacjonalista, który tożsamy jest z „rezunem” (s. 44). Dodać jednak należy, że takie podejście nie zmieniało stosunku do ludności ukraińskiej w Polsce. Wysiedlono ją, jako oficjalnie goszono, za współpracę z UPA. Tym samym w powszechnej opinii Ukraińcy byli „nacjonalistami”, czyli także „rezunami”. Władze były tego świadome i ten stereotyp podtrzymywały, gdyż usprawiedliwiał on w oczach polskiej opinii publicznej antyukraińskie działania. Autor trafnie zauważa, że „komunistom chodziło o zniechęcenie Polaków do wszelkich sympatii do niepodległości Ukrainy, do wpojenia przekonania, iż suwerenne państwo ukraińskie musi być antypolskie” (s. 44-45). Ogółem, nie licząc artykułów, w PRL ukazało się 58 prac, które uchodziły za naukowe i popularnonaukowe, 50 wspomnień, 10 tomików z serii „Żółtego Tygrysa” oraz ponad 60 powieści (s. 39-40) podtrzymujących ten stereotyp. Obserwując postawy niektórych osób związanych ze środowiskiem kresowo-narodowym w kwestii ukraińskiej, można śmiało stwierdzić, że niestety ten propagandowy pogląd ma gorących zwolenników i propagatorów także obecnie.

Czwarty szkic, zatytułowany: *Ślady pazurów. Działalność Ukraińskiej Powstańczej Armii i jej likwidacja w Bieszczadach*, jest najbardziej dyskusyjnym artykułem zamieszczonym w recenzowanej pracy. Nie wiadomo, z jakiego powodu autor, podając strukturę narodowościową, wymienia „Bojków (czyli Ukraińców) i Łemków” (s. 48). Co prawda, w następnym zdaniu pisze, że część Łemków uważała się za Ukraińców, niemniej takie rozróżnienie budzi wątpliwości. Bojkowie i Łemkowie są grupami etnicznymi narodu ukraińskiego i podając strukturę narodowościową w tym przypadku, nie wymienia się grup etnicznych, tylko narodowe. Jeżeli tak, to należało to zrobić także względem Polaków. Prawdą jest, że nie wszyscy Łemkowie utożsamiali się z narodem ukraińskim. Jednak nie uważali się w tamtym okresie za odrębny naród, a za część wielkiego narodu ruskiego lub rosyjskiego. Na marginesie dodam, że jeżeli oddziela się Łemków od Ukraińców, to konsekwentnie należy takie rozróżnienie stosować wobec np. Polaków i Ślązaków. Na pewno wojna polsko-ukraińska umocniła poczucie ukraińskiej tożsamości narodowej, ale wątpliwe jest, że tę odrębność manifestowali nawet strojem (s. 49). Czyli że przed 1918 r. ubierali się tak jak Polacy? Przecież mieli własny strój ludowy. Podobnie jak w pierwszym szkicu recenzowanej pracy, autor pisze jedynie o OUN, pomijając inne organizacje ukraińskie (s. 50). Takie podejście zamazuje obraz i rodzi przekonanie, że wśród Ukraińców wpływy miała jedynie organizacja nacjonalistyczna. Nie jest prawdą, że tylko ludność polska udzielała pomocy polskim uciekinierom, którzy chcieli przedostać się na Zachód (s. 50). Pomagali także Ukraińcy, może nie w takim stopniu jak Polacy, ale pomagali. Sam autor o takim przypadku wspomina w przypisie 8. Pisząc o kształtowaniu się struktur podziemia ukraińskiego w Bieszczadach (s. 52-53), G. Motyka nie wspomina o polskim podziemiu. Przez to nie otrzymujemy pełnego obrazu istniejącej wtedy sytuacji. Nie jest uzasadnione stwierdzenie, że „bieszczadzka OUN-B próbowała na przełomie marca/kwietnia 1944 r. włączyć się w prowadzoną przez tę organizację w Galicji Wschodniej masową antypolską akcję” (s. 53). Jeżeli „próbowała”, to muszą być tego jakieś przykłady. Potwierdzenia nie może stanowić tylko notatka, na którą powołuje się autor. Poza tym sam wcześniej

przyznaje, że UON-B w Bieszczadach była słaba i nie miała większych wpływów (s. 52-53). Szkoda, że pisząc o „krwawych antypolskich akcjach”, jakie miały miejsce w lipcu 1944 r., G. Motyka nie powołuje się na wiarygodne źródła. Tym bardziej że wcześniej nawet propaganda komunistyczna nic na ten temat nie mówiła. Autor pomija całkowicie informacje o zabijaniu Ukraińców przez podziemie polskie. Pisze o tym dopiero po opisanie mordu na Polakach w Baligrodzie, dokonanego 6 sierpnia 1944 r. Taka kolejność zamazuje obraz sytuacji. Z pracy G. Motyki wynika, że do pierwszych zabójstw Polaków doszło w marcu 1944 r., a Ukraińców już w 1943 r. Moim zdaniem sprawa mordu w Baligrodzie wymaga dokładnego zbadania, aby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego do niego doszło. Więcej światła na tę sprawę może rzucić ustalenie, kim były zamordowane osoby, tym bardziej że znamy ich personaliá. Dlaczego znaleźli się na liście proskrypcyjnej? Także określenie tego mordu jako „masakry” (s. 59) nie jest adekwatne, gdyż osoby te zostały zastrzelone, a nie okrutnie zamordowane. Mając na uwadze działalność polskiego i ukraińskiego podziemia oraz partyzantki radzieckiej i nazistów, a także wzajemne mordy, trudno zgodzić się ze stwierdzeniem autora, że UPA chciała zmusić Polaków do opuszczenia tego terenu i przenieść na niego antypolską akcję z Galicji Wschodniej (s. 54, 57, 92). Upowcy po doświadczeniach w Galicji Wschodniej zdawali sobie sprawę, że fizyczny terror nie zmusi ludności polskiej do ucieczki. W przypadku Baligrodu nie było potrzeby realizowania hasła „Lachy za San”, gdyż miasteczko to leży przecież „za Sanem”. Dokładniejszego zbadania wymaga także to, że zaostrzenie się konfliktu polsko-ukraińskiego nastąpiło po pojawieniu się partyzantki radzieckiej. Tak było też na Wołyniu i w Galicji Wschodniej.

Zbytнім uogólnieniem jest, że sotnia „Chrina” stanowiła jedyny oddział złożony z Łemków (s. 66-67). Na pewno było ich tam najwięcej, ale w jej skład wchodziłi nie tylko oni. Łemkowie byli też w innych oddziałach UPA. Uproszczeniem jest także stwierdzenie, że przekazanie Polaków ukraińskiej Służbie Bezpieczeństwa oznaczało wyrok śmierci (s. 69). Również należy powiedzieć wprost, że 19 stycznia 1945 r. wojsko polskie zostało wysłane do Średniej Wsi nie „po zaopatrzenie”, a na rabunek (s. 70). Trzeba także wyjaśnić, dlaczego oddziały UPA na początku 1946 r. przeprowadziły ataki na polskie wsie (s. 70). Dziwi również, że autor podaje liczbę ofiar po stronie polskiej w Bieszczadach, a nie robi tego w stosunku do Ukraińców. Nasuwa się też pytanie, na jakiej podstawie G. Motyka stwierdza, że „w globalnym bilansie ofiar śmiertelnych było w Bieszczadach prawdopodobnie więcej wśród Polaków niż Ukraińców” (s. 93). Są to sprawy „delikatnej natury”, dlatego należy podchodzić do nich z wielką ostrożnością.

Następny artykuł to *Antoni Żubryd – bieszczadzki „Ogień”*. Autor stara się w nim odkłamać postać Antoniego Żubryda „Zucha”, która została zafalszowana przez J. Gerharda w *Lunach w Bieszczadach*. Omówił jego walkę z komunistami, odniósł się do antysemityzmu Żubryda i jego ludzi, słusznie zaznaczając, że sprawa wymaga jeszcze badań (s. 109-113). W tym artykule poruszone zostały także kwestie ukraińskie. Mówi się o rabunkach dokonywanych na ludności ukraińskiej (s. 105), ale także o kontaktach z ukraińskim podziemiem (s. 106-107). Nie oznaczało to jednak zanie-

chania napadów na wsie ukraińskie czy zabijania pojedynczych osób (s. 108). Należy zgodzić się ze stwierdzeniem, że oddział „Zucha” w stosunku do ludności ukraińskiej nie był tak bezwzględny jak inne oddziały NSZ (s. 109).

Z kolei w szkicu *Tajemnicza śmierć generała „Waltera” G. Motyka* przedstawia kwestie związane ze śmiercią gen. Karola Świerczewskiego w Jabłonkach. W zasadzie jest to powtórzenie dotychczasowych ustaleń na temat tej śmierci. Niemniej bardzo interesująca i właściwie nieznana jest sprawa aresztowania J. Gerharda w 1952 r. i wymuszonych na nim zeznań. Miał w nich przyznać, że gen. Świerczewski zginął w wyniku spisku, za którym stał Marian Spychalski i Michał Żymierski (s. 135-140). Również ciekawy jest artykuł pt. *Kryptonim Bieszczady. Zabójstwo Jana Gerharda*, w którym omówiono przebieg śledztwa dotyczącego śmierci J. Gerharda, w tym wątku ukraińskiego.

Recenzowaną pracę zamyka szkic pt. *Zamiast zakończenia: Czy akcja „Wisła” była konieczna? Przymusowe wysiedlenia a likwidacja OUN i UPA*. Autor udowadnia w nim, że do 1947 r. władze komunistyczne traktowały działalność UPA wyłącznie jako problem lokalny, który rozwiąże się sam w wyniku wysiedlenia ludności ukraińskiej do ZSRR. Były bowiem bardziej zainteresowane likwidacją polskiej opozycji niepodległościowej, gdyż tylko ona realnie zagrażała komunistom (s. 170). G. Motyka przekonująco stwierdza, że w celu likwidacji partyzantki ukraińskiej władze nie musiały uciekać się do deportacji ludności cywilnej (s. 177), którą przeprowadzono na wzór sowiecki (s. 173). Należy zgodzić się z konkluzją autora, że: „Przymusowe przesiedlenia były możliwe tylko w warunkach postępującej stalinizacji Polski. W tym kontekście widać, że wypowiedzi potępiające akcję »Wisła« służą zerwaniu z peerelowską przeszłością. I odwrotnie, ci którzy dziś próbują usprawiedliwiać przymusowe wysiedlenia z 1947 r. niebezpiecznie zbliżają się do relatywizowania komunistycznych zbrodni” (s. 180).

Należy podkreślić, że recenzowany zbiór artykułów z jednej strony w jakiejś mierze przybliżył nam trudne polsko-ukraińskie relacje w Bieszczadach, zaś z drugiej – stanowi propozycję do dyskusji, bowiem nie ze wszystkimi zamieszczonymi w recenzowanym zbiorze ocenami można się zgodzić. Na pewno artykuły te byłyby cenniejsze, gdyby autor uwzględnił w nich ustalenia historyków ukraińskich. Szkoda, że tego nie zrobił.

ROMAN DROZD
AP SŁUPSK

